CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK III. WARSZAWA, 27 Listopada 1938 R. NR. 45-46

Ewolucja polskiego parlamentaryzmu

Za kilka dni rozpocznie się pierwsza sesja nowych izb parlamentarnych. Czym będą izby te w rozwoju naszego parlamentaryzmu, więcej, w dwudziestoletniej dotychczas ewolucji naszego ustroju?

Pojęcie ewolucji nie jest w danym wypadku nieścisłe. Cechą charakterystyczną minionego dwudziestolecia naszego życia politycznego jest właśnie ciągłość przemiany. Każdy z dotychczasowych pięciu sejmów, niezależnie od pozytywnej czy negatywnej oceny ich roli ustawodawczej i politycznej posiadał pewną swoistą indywidualność, był inny niżeli jego poprzednik czy następca, inny nie w znaczeniu odmienności składu osobowego i politycznego, lecz w odmienności założeń, zakresu kompetencji prawnych i realnego wpływu.

Jeśli nowe izby mają być krokiem naprzód w ciągłości ewolucji, to nie będzie zapewne rzeczą zbędną dokonanie pewnej analizy, poszukanie zarówno linii zasadniczej w sposobie kształtowania się naszego ustroju parlamentarnego, jak też przypomnienie ważniejszych powikłań i zaburzeń przeszłości.

Sejm pierwszy — ustawodawczy — powoływany był w warunkach nienormalnych i nieustabilizowanych. Był to Sejm szukania dróg w chaosie. Niezaprzeczenie, szczególnie w pierwszym okresie, był to Sejm dobrej woli. Na rachunku aktywów moralnych tego Sejmu są pozycje wysoce wartościowe, jak jednomyślność wyboru Józefa Piłsudskiego na Naczelnika Państwa w dniu 20 lutego roku 1919, jak wykazanie daleko idącej, wyższej niżeli w całości społeczeństwa ówczesnego, zdolności jednolitego działania latem roku 1920. Można by rzec, że w momentach i w sprawach wyjątkowo trudnych Sejm ten zdolny był stawać na wysokości zadania. Inaczej jednak było w normalnej pracy ustawodawczej i politycznej. Tutaj, obok wysokiej dobrej woli, występowały wielkie wady ówczesnego gremium sejmowego.

Wady te wystąpiły z całą siłą w pracy kostytucyjnej i to zarówno we fragmentarycznym skrócie tez ustrojowych tak zwanej później „Małej Konstytucji", jak w ostatecznym projekcie Ustawy Konstytucyjnej z dnia 17 marca roku 1921. Na obu ustawach zaciążył w sposób decydujący fakt, że pierwszy Sejm Rzeczypospolitej składał się zasadniczo z trzech kategorii ludzi: naiwnych i wiernych członków stronnictw, teoretyków, znających zagadnienia ustrojowe wyłącznie z literatury, wreszcie praktyków politycznych, zaprawionych w ustrojach państw zaborczych do walki o rolę parlamentu. Wypadkowa szła tu po linii szczególnie niebezpiecznej: skierowania głównego wysiłku na skrępowanie rządu. Rezultat ten został w pełni zrealizowany.

Ilustracją kierunku ewolucji w okresie Sejmu ustawodawczego może być przede wszystkim przypadający na okres zmierzchowy tego Sejmu spór o wykładnię „Małej Konstytucji", doprowadzający do absurdu zarezerwowania dla Sejmu prawa bezpośredniego desygnowania Szefa Rządu przez wyłoniony w tym celu specjalny osiemdziesięcioosobowy twór — Komisję Główną. Realizm polityczny „wątpliwości konstytucyjnych" Piłsudskiego przeciwstawił się tutaj po raz pierwszy krańcowości absurdalnego liberalizmu ustrojowego. Rozstrzygnięcie sporu było połowiczne. Ze strony Piłsudskiego była to demonstracja, z której wnioski miały być wyciągnięte w kilka lat później. Na razie jedynym możliwym rezultatem kompromisu był wyjątkowo słaby i o nieco „molierowskim" charakterze rząd prof. Nowaka.

*

Jeżeli Sejm ustawodawczy, sejm lat 1919—1922, był sejmem szukania dróg parlamentaryzmu polskiego, to Sejm następny lat 1922—1928, w pierwszym przynajmniej okresie był sejmem mechanicznego kroczenia po drodze jaskrawo i widocznie błędnej. Był to najsmutniejszy chyba z pięciu dotychczasowych sejmów, obdarzony najwyższą pełnią władzy i najniższą zdolnością podołania płynącej stąd odpowiedzialności. Jedyne naprawdę twórcze i wartościowe dzieło smutnego na ogół okresu lat 1922—1926, reforma skarbowa Władysława Grabskiego, było dokonane poza Sejmem, przy czym zasługą Sejmu było jedynie to, że na pewien czas zdobył się na decyzję chwilowej rezygnacji z prawa przeszkadzania Rządowi.

Jednakże nie tylko w nieudolności w zakresie opieki nad sprawami państwowymi leżała słabość i wadliwość tego Sejmu. Istniała ona również w zakresie tworzenia podstaw naszego obyczaju i systemu parlamentarnego. Przy zasadzie i praktyce wszechwładzy Sejmu, przy ogromnym przeroście znaczenia zarówno całości Parlamentu, jak i poszczególnych jego przedstawicieli, ogromnego znaczenia nabierała sprawa stabilizacji najbardziej wadliwych form ustroju życia politycznego. Sejm przestawał być coraz bardziej reprezentantem całości interesów państwowych, stawał się natomiast coraz wyraźniej i coraz isto-

tniej *kongresem przedstawicieli stronnictw*, czymś w rodzaju swoistej Ligi Międzypartyjnej, wewnątrz której ogniskowała się walka o należyte uwzględnienie interesów poszczególnych potencji politycznych — partyj.

Szkodliwość tego rodzaju stanu była podwójna. Odbijał się on na sile państwa, równocześnie jednak podważał podstawy naszego parlamentaryzmu. Sejm miał dużą samowiedzę tej sytuacji, równocześnie jednak żadnej zdolności odnalezienia racjonalnego z niej wyjścia. W rezultacie wyjście to przyszło z zewnątrz, w postaci majowego zamachu stanu roku 1926.

Rozpoczęła się nowa epoka: odwrotu z osiągniętej przez parlamentaryzm polski pozycji. Na razie instynkt samozachowawczy podyktował Sejmowi decyzję ulegalizowania przewrotu, następnie skłonił go do częściowej zmiany konstytucji, dającej Prezydentowi Rzeczypospolitej jeden punkt przewagi nad sejmem — prawo rozwiązania izb.

*

Walka o całość ustroju przeniosła się jednak dopiero do następnego Sejmu, wybranego na wiosnę roku 1928. Był to Sejm, któremu sama Ustawa Konstytucyjna z dnia 17 marca wskazywała prawo i obowiązek reformy. Jednakże — i to było tragedią tego Sejmu — nad możnością istotnej pracy konstytucyjnej zapanowało dwustronne podniecenie bezpośredniej walki politycznej. Dwu i pół letni żywot tego Sejmu upłynął w nastroju nieustającej mobilizacji, nieustającego pogotowia bojowego, w rezultacie zakończył się katastrofą brzeską. W zakresie formalnej ewolucji naszego ustroju Sejm ten nie zaznaczył się niczym, zmienił jednak w sposób niezmiernie radykalny pozycję posła i senatora w całości naszego życia politycznego. Można powiedzieć, że katastrofa tego Sejmu przekreśliła proces wytwarzania się nowej warstwy uprzywilejowanej w Polsce: arystokracji parlamentarno-politycznej, zwalczającej się ostro w zakresie dążeń ogólnych, związanej ścisłą wspólnością interesów w zakresie utrzymania szeroko zakreślonego koła wyjątkowych praw i przywilejów.

Zagadnienie konstytucji przez Sejm ten rozwiązane nie było. Złożyły się na to dwa czynniki. Większość opozycyjna Sejmu, doceniająca szczególnie w początku niemożność upierania się przy krańcowym liberaliźmie Konstytucji marcowej, w toku prac sejmowych coraz mocniej ześrodkowała uwagę na jednym punkcie: dogmatycznego oporu na szańcach walki o prawa Sejmu i przywileje jego przedstawicieli. Mniejszość — posiadająca oparcie o autorytet Marszałka Piłsudskiego — szturmując pozycje konstytucyjne, miała poczucie, że sprawa nie kończy się na zmianie ustawy, lecz że musi mieć jeszcze i drugą stronę, to jest uzyskanie większości w następnym parlamencie. Stąd też w biegu prac sejmowych kolejność dążeń została odwrócona. Zamiast dążenia przez zmianę Konstytucji do wzmocnienia systemu rządów, położono nacisk na uzyskanie w następnych izbach większości, co w rezultacie dawało i bezpośrednie wzmocnienie rządu i możność zmiany Konstytucji.

*

Sejm czwarty, lat 1930—1935, był pierwszym Sejmem, mającym stałą i trwałą większość. W zakresie pracy ustawodawczej wykonał on dzieło ogromnego znaczenia przez reformę konstytucyjną, przywracającą naturalną równowagę pomiędzy poszczególnymi czynnikami władzy państwowej.

Mniej szczęśliwie wypadła jednak inna strona praktycznej działalności tego Sejmu, dotycząca zasad organizacji życia politycznego Narodu. W gorączce eksperymentowania wybrano drogę nawskroś negatywną. Ponieważ źródłem słabości i cechą charakterystyczną okresów poprzednich był przerost partyjnictwa, wybrano drogę przeciwstawienia się samej zasadzie organizacji sił politycznych. By zmniejszyć niebezpieczeństwa, płynące z naturalnego przy takim założeniu chaosu, musiano w zakresie ordynacji wyborczej pójść po linii zwiększenia wpływu czynnika administracyjnego na bieg wyborów. W rezultacie stworzono system nadmiernie sztuczny, wywołujący łatwość krytyki, zmniejszający stopień zainteresowania samym aktem wyborczym.

*

Słabe strony tego rodzaju zasady, silniej jeszcze niżeli w zakresie ordynacji i wyborów, wystąpiły w strukturze pierwszego Sejmu, działającego na podstawie nowej Konstytucji, Sejmu lat 1935—1938, piątego w ogóle sejmu odrodzonej Rzeczypospolitej.

Teoretyczne podniesienie zasady bezorganizacyjności i bezprogramowości do rzędu cnót obywatelskich stwarzało pustkę, która domagała się zapełnienia. Zapełnieniem tym miała się stać zasada organizacji kół regionalnych. W rezultacie groziło to przekształceniem izb z dawnego kongresu przedstawicieli stronnictw na niemniej niebezpieczny *kongres sejmików regionalnych*. Na szczęście zasada ta była zbyt sztuczna, by mogła być zwycięska. W rezultacie musiała ustąpić miejsca zasadzie innej: przeciwstawienia się partyjnemu rozproszkowaniu sił Narodu nie przez apologię chaosu i bezprogramowości, lecz przez skuteczną organizację tych sił pod hasłami nadrzędności interesu Państwa i Narodu nad interesami cząstkowymi.

*

Izby obecne rozpoczynają swą działalność w warunkach na ogół łatwych i szczęśliwych. Mają za sobą nie tylko wartościowe doświadczenia i zawodne nieraz okresy eksperymentowania przeszłości, ale i poważny trwały dorobek w zakresie naszego ustawodawstwa ustrojowego. Niemniej zadania ich są bardzo istotne.

Na czoło tych zadań wysunięta została w Orędziu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej sprawa reformy Ordynacji Wyborczej. Jednak zagadnienie ordynacji wyborczej nie może być traktowane w oderwaniu od zagadnienia innego, znacznie szerszego, zagadnienia organizacji sił Narodu.

Właściwe rozwiązanie tego zagadnienia czyni łatwym wszystko inne, w szczególności niezmiernie upraszcza sprawę ordynacji. Natomiast zaniedbania na odcinku organizacji muszą z natury rzeczy stwarzać pokusę nadrabiania ich przez usztywnianie i odbieranie elastyczności formom ustrojowym. Są to półśrodki, czasem konieczne, na ogół jednak niepożądane i niezdrowe.

Wynik wyborów, jak to podkreślaliśmy już w numerze poprzednim, oddał klucz sytuacji politycznej w Polsce w rece Obozu Zjednoczenia Narodowego. Klucz ten powinien być użyty dla zrealizowania ostatniego etapu ewolucji naszych stosunków politycznych, to jest powiązania pozytywnych dotychczasowych osiągnięć w zakresie ustrojowym z utrwaleniem i wzmocnieniem osiągniętych dotąd rezultatów w zakresie organizacji sił Narodu.

Parlamentaryzm polski przechodził dotychczas poważne choroby. Choroby te płynęły z pierwotnego upojenia wolnością, były bodajże nieuniknionym następstwem okresu młodzieńczego eksperymentowania, wybierania dróg najłatwiejszych i najwygodniejszych. Dzisiaj stan ten zdaje się już być całkowicie poza nami. I pod tym względem zdajemy się mieć wśród państw współczesnej Europy warunki szczególnie pomyślne.

Miejmy nadzieję, że Izby, które w dniach najbliższych rozpoczną swą działalność, będą umiały przetworzyć te warunki w trwałą rzeczywistość polityczną, umożliwiającą nam zakończenie dotychczasowej ewolucji naszego parlamentaryzmu przez racjonalną syntezę istotnej siły ustroju państwowego z nieskrępowanym rozwojem społecznych wartości swobodnie zorganizowanego Narodu.

Zbigniew Domaniewski

Dążenia i obawy Francji

Paryż, w listopadzie 1938

Sytuacja wewnętrzno - polityczna we Francji daje się łatwo zcharakteryzować. Rząd wydał 34 nowe dekrety finansowo-gospodarcze, mające przysłużyć się uzdrowieniu panujących obecnie stosunków, lecz poza tym wydarzeniem o nieokreślonym narazie znaczeniu nic konkretnego nowego się nie dzieje. Francja nadal tylko medytuje, waha się i zbiera siły, nade wszystko zaś — spogląda poza swe granice.

Patrzenie poza granice kraju, obserwowanie wydarzeń politycznych, społecznych i gospodarczych u bezpośrednich i dalszych sąsiadów odgrywa w tej chwili istotnie dużą rolę we francuskim życiu politycznym. Wynika to z tej prostej przyczyny, że jeśli w końcu XVIII i w XIX stuleciu Francja była środowiskiem rewolucyjnym i ewolucyjnym — ojczyzną nowych, przełomowych w dziejach ludzkości form życia państwowego i społecznego, to dziś jest środowiskiem politycznym konserwatywnym. Francja żyje jeszcze w atmosferze i w formach deklaracji praw człowieka, w atmosferze i w formach, w których dziś już nic nie znajdziemy młodego, postępowego. Rzeczy nowe dzieją się w innych państwach.

Wydaje się na pozór, że Francuzi są niesłychanie przywiązani do tych odlanych w ogniu minionych rewolucji form politycznych, czyli do demokracji z jej parlamentarną armaturą. Jednak przy dokładniejszej obserwacji i głębszym rozpatrzeniu materiału obserwacyjnego nasuwa się pytanie, ile w tym jest przywiązania do demokratycznej frazeologii, a ile do realnych politycznych form życiowych demokracji. W wypowiedzeniach polityków i w politycznych publikacjach rzuca się w oczy nadzwyczaj wysoki ton, w którym wysławią się akt wiary w demokrację i przywiązanie do jej instytucyj. Obok tego jednak słyszy się i czyta słowa gwałtownego oburzenia i zmartwienia z racji tego wszystkiego, co się dziś dzieje we Francji, a co jest przecież logicznym następstwem istnienia instytucyj demokratycznych — słowa, które zawsze wyrażają życzenie zmiany panujących stosunków. Poza drobną mniejszością nikt nie podnosi we Francji oficjalnie — głośno, publicznie — kwestii, czy możliwa jest zmiana stosunków bez zmiany instytucyj lub ich struktury. Lecz większość Francuzów, mówiąc czy pisząc o polityce, mimowoli zdradza swe głębokie przekonanie, że jeśli się uznaje potrzebę naprawy — „redressement" — Francji, to trzeba będzie prędzej czy później uznać potrzebę naprawy istytucyj demokratycznych. Że to przekonanie jest ukryte, że mało kto ma śmiałość mówić otwarcie o potrzebie rekonstrukcji przestarzałej już demokracji, nie powinno to nas wprowadzać w błąd. Francja, przy wszystkich swych tendencjach do rewolucji jest krajem, w którym wielkie rzeczy mogą dziać się bez wielkiego krzyku i oficjalnej etykiety. Jak mówił premier Daladier na kongresie partii radykalnej w Marsylii—Francja „nie potrzebuje ani zbawcy, ani człowieka przeznaczenia... Kraj będzie uratowany... lecz uratuje się przez swobodny wysiłek wszystkich swych synów". W tym to właśnie znaczeniu Francja zbiera dziś siły, waha się i medytuje.

Francja — nie tyle również, ile przede wszystkim — spogląda poza swe granice. To spoglądanie na kraje wielkich reform politycznych w momencie, w którym Francja sama posiada palącą potrzebę reformy, nie koniecznie prowadzi do naśladownictwa form, lecz musi doprowadzić do stworzenia równowagi treści. Daladier wołał w Marsylii: „pragniemy silnej Republiki, jędrnej demokracji, zdolnej przeciwstawić się wszystkim atakom, które mogłyby przyjść z zewnątrz..." Na to potrzeba oczywiście nie tylko równowagi sił gospodarczych i militarnych, lecz i organizacyjnych — równowagi, powiedzmy ustrojowej, gdyż ustrój polityczny jest narzędziem walki w stosunkach międzynarodowych, narzędziem obrony kraju. Choć trudno przypuścić, żeby Francja zaczęła kopiować włoskie i niemieckie wzory, to jednak staje się coraz to bardziej oczywiste, że Francja wyciągnie pewne konsekwencje z dokonywujących się w świecie przemian.

Zdaje się nawet, że można już uchwycić początek tej nici ewolucji francuskiej demokracji. W cytowanym przemówieniu premier francuski powiedział coś, co niedwuznacznie świadczy o uznaniu konieczności reform: „Codzienne intrygi, częste i pozbawione głębokiej przyczyny kryzysy gabinetowe, niepewność, którą stwarza w życiu narodu niestałość rządu, zdolne są wywołać pewnego dnia sceptycyzm i nawet znużenie opinii publicznej. We Francji można się obawiać tego, co już miało miejsce w innych krajach, mianowicie, że ewentualne zawody ze strony władzy ustawodawczej i wykonawczej spowodują zobojętnienie naszego narodu dla systemu wolności". Daladier obawia się — i słusznie — reakcji antyparlamentarnej. Francja jest krajem, który był przez całe stulecia terenem rewolucji, ale po każdej rewolucji następowała reakcja i ostateczny rezultat był zwykle niepodobny, nawet wręcz przeciwny do zamierzonego przez wodzów rewolucji. Pod tym względem sama Wielka Rewolucja przeżyła los najtragiczniejszy: zaczęła się pod hasłem reformy monarchii, pragnęła stworzyć nowe formy polityczne wokół monarchii jako czynnika równowagi, lecz stworzyła ostatecznie republikę. Ludzie, którzy zebrali się w roku 1789 w sali gry w piłkę pragnęli tak samo reformy Kościoła we Francji, byli religijni i nie mieli zamiaru występować przeciwko religii, natomiast doprowadzili ostatecznie do rozpętania akcji antyreligijnej i zburzenia organizacji kościelnej. Zgromadzenie narodowe dekretowało, że naród francuski „wyzbywa się myśli o wszczęciu jakiejkolwiek wojny zdobywczej", tymczasem padło niebawem hasło o „granicach naturalnych Francji", które trzeba było — zdobyć. Co ważniejsze jednak, Wielka Rewolucja, która zaczęła się od deklaracji o wolności, doprowadziła ostatecznie do dyktatury i despotyzmu. Otóż za rewolucję możemy również uznać zwycięstwo wyborcze w maju 1936 i dwuletnie rządy frontu ludowego. Jednym z dzieł tej rewolucji było wytworzenie w większości opinii francuskiej bezkrytycznego stanu negacji najbardziej nawet niezaprzeczalnych pozytywnych osiągnięć ustrojów antyparlamentarnych. Front ludowy wytworzył nadto we Francji histerię obrony demokracji parlamentarnej przed wrogami wewnętrznymi — mieszaninę złości, lekceważenia, pogardy, nienawiści, zarazem jednak ukrytej zazdrości w stosunku do ustrojów autorytatywnych. Równocześnie stworzył polityczny i gospodarczy chaos, w którym, przy demokratycznej swobodzie politykowania, panuje wszechwładnie teroryzm niepewności jutra. Nic więc dziwnego, że Daladier, współtwórca frontu ludowego, znając akcje rewolucyjne i reakcje lat 1789, 1791, 1793, 1815, 1848, 1871, obawia się reakcji roku 19.. przeciwko ideałom obrony parlamentaryzmu.

Konkretnym hasłem naprawy Francji jest w części opinii publicznej reforma ordynacji wyborczej. Wysuwa się często tezę — którą poddamy analizie w następnym artykule, — że niestałość rządów i wynikający stad chaos w życiu politycznym, cechujące Trzecią Republikę od roku jej definitywnej stabilizacji 1879, nie są rzędu parlamentarnego tylko wyborczego. Nie wchodząc narazie w szczegóły obecnej francuskiej ordynacji wyborczej, stwierdzimy, że istotnie ordynacja ta z natury swej musi przyczyniać się do niestałości równowagi sił w parlamencie. Znaczna część deputowanych obierana jest nie tylko głosami swych własnych zwolenników, lecz również głosami, które deputowani uzyskują dzięki koalicji wyborczej z innymi partiami, nieraz o zupełnie odrębnym programie politycznym. Działalność deputowanych w Izbie jest wypadkową ich włas-

nych przekonań i obawy przed nowymi wyborami, w których znowu będą potrzebne głosy koaliantów o odrębnych przekonaniach; wypadkowa ta bywa oczywiście bardzo rozmaita i przy lada sposobności obala rząd. Jeżeli więc mówi się dziś we Francji o konieczności zmiany ordynacji wyborów do Izby Deputowanych, to nie tylko chodzi o zmianę partyjnej struktury Izby, lecz zarazem o stworzenie niezależnej i długotrwałej większości parlamentarnej. Ponieważ przy tym mówi się o wprowadzeniu ordynacji wyborczej proporcjonalnej, opartej na swobodnym głosowaniu, więc nie można tych dążeń uważać bezpośrednio za chęć reformy parlamentaryzmu jako takiego. Niemniej istnieją powody, dla których można być przekonanym, że po tej nici Francuzi dojdą do kłębka, to znaczy do ograniczenia swobód politycznych czystego systemu parlamentarnego.

Demokracja angielska istnieje i może istnieć z pożytkiem dla kraju dlatego, że wytwarza długotrwałe większości, które jednak nie wykorzystywują swej sytuacji dla ograniczenia swobody politycznej i praw publicznych mniejszości. Natomiast jedną z cech życia politycznego we Francji jest brak ze strony większości poszanowania dla praw mniejszości, skutkiem czego każda mniejszość żyje w nieustannym strachu przed większością i stale montuje jakieś „bezpieczeństwo" przed ewentualną tyranią z jej strony. Mieliśmy na to świetny przykład w poczynaniach rządu Bluma w stosunku do prawicy i teraz po załamaniu się większości frontu ludowego, — w gwałtownym niepokoju i groźbach utworzenia wojującego bloku socjalkomunistycznego, rzucanych przez byłego premiera z okazji dyskusji nad zmianą ordynacji wyborczej, co postawiłoby socjalistów w sytuacji mniejszości. Istota zagadnienia polega na tym, że wbrew naszym konwencjonalnym wyobrażeniom, we Francji tradycyjną tendencją polityczną nie jest tendencja do zachowania rządów liberalnych, tylko do stworzenia rządów autorytatywnych, czy wręcz despotycznych. Liberalizm jako zjawisko trwałe datuje się we Francji dopiero od końca ubiegłego stulecia i nie wiadomo, czy jedyną przyczyną tej trwałości nie jest fakt, że nie istniały długotrwałe, niezależne większości, zdolne przywrócić rządy autorytatywne.

Odwrócona, sytuacja ta przedstawia się w ten sposób, że w razie utworzenia się we Francji, w rezultacie reformy ordynacji wyborczej, jakiejś trwałej i niezależnej większości parlamentarnej, zaistnieje obiektywna możliwość powstania rządów autorytatywnych. Ta możliwość jest podwójna, gdyż opiera się również na dążeniach subiektywnych. André Maurois w artykule p. t. „Francja chce żyć" pisał niedawno, że „stan opinii publicznej jest taki, a świadomość niebezpieczeństwa tak żywa, iż żaden opór nie byłby możliwy w dniu, w którym jakiś bezstronny i energiczny rząd oznajmiłby, w drodze umotywowanych komunikatów, powody swych decyzji. Czy byli oni prawicowych, czy lewicowych przekonań, czy robotnikami czy pracodawcami, wszyscy ludzie, których wypytywałem, wyrazili jedno życzenie: niech nam ktoś rozkazuje!"

Wątpliwe, czy we Francji przyjdzie do władzy jednostka, która byłaby zdolna rozkazywać ogółowi; jeśli Daladier powiada, że Francja nie potrzebuje zbawcy, czy człowieka opatrznościowego, to oddaje wiernie panujące w kraju nastroje. Lecz z niemniejszym prawdopodobieństwem można oczekiwać, że ewentualna reforma ordynacji wyborczej będzie początkiem ewolucji parlamentaryzmu, w następstwie której prawo rozkazywania weźmie w swe ręce jakaś jedna grupa. Wahadło polityczne Francji zatrzymałoby się w takim razie między swymi dwoma historycznymi krańcowymi odchyleniami, despotyzmem autokratyzmu i despotyzmem dezorganizacji.

Wiktor Ormicki

Polska polityka ludnościowa*)

Polska polityka ludnościowa nie doczekała się dotąd skrystalizowania. Nie wyznaczono jej celów, ani też nie sprecyzowano zadań. Nie powzięto nawet decyzji, czy w interesie państwa i społeczeństwa leży zwiększenie prężności populacyjnej, czy raczej dążenie do zachowania liczebności społeczeństwa przy wyraźniejszym niż dotąd zainteresowaniu się jakością materiału ludzkiego. A przecież decyzja ta stanowi fundamentalny i nieodzowny punkt wyjścia dla jakiegokolwiek szerszego i na dalszą metę zakrojonego państwowego planu gospodarczego, który by albo uwzględniał potrzeby, wysuwane przez politykę ludnościową, albo celowo i programowo kształtował stosunki demograficzne.

Rozumiejąc pod pojęciem polityki ludnościowej — nawet bez przesądzania w tej chwili i w tym miejscu jej przyszłego charakteru (socjalna lub nadrzędna) — *działanie zwrócone w kierunku utrzymania równowagi ekonomicznej między zaludnieniem a gospodarstwem społecznym w drodze celowego ustawodawstwa i świadomej organizacji struktury społecznej i gospodarczej* a harmonizujące ekonomiczne następstwa rozwoju ludności z demograficznymi konsekwencjami ewolucji gospodarczej, należy wysunąć pod jej adresem dwa kapitalne *zadania:*

1) Usunięcia i zmiany obowiązującego ustawodawstwa, o ile ostrze jego norm ma charakter antypopulacyjny, oraz —

2) reorganizacji ustroju gospodarczego w myśl potrzeb, zamierzeń i założeń demopolitycznych.

Realizacja wzmiankowanych zadań jest nie do pomyślenia bez uprzedniego skrystalizowania *celów* polskiej polityki populacyjnej. Można je najogólniej sformułować następująco:

1) dbałość o stan liczebny społeczeństwa,

2) poprawa jakościowa materiału ludzkiego,

3) odpowiednie rozmieszczenie ludności, oraz —

4) celowa polityka gospodarcza.

Przed rozpatrzeniem poszczególnych zadań usilnie podkreślić należy, iż dalsza zwłoka i lekceważenie zagadnień ludnościowych grożą najdonioślejszymi następstwami. Wystarczy rzut oka na polski bilans demograficzny za ostatnie ćwierćwiecze. Okres 1914 — 1931 zamyka się saldem ujemnym w wysokości co najmniej *5.5 mil. głów*. Odpowiada to zniszczeniu 20% stanu ludnościowego z 1 stycznia 1914 roku.

Rzeczywisty ubytek ludności obliczył S. Szulc [1]) na 2,9 mil. osób, na co składają się:

a) straty w kombatantach — 434.000 (w tym 47.055 poległych i zmarłych z ran w polskiej wojnie wyzwoleńczej),

b) naturalny ubytek ludności cywilnej w latach 1914 — 1918 szacowany na 365.000 osób, jako też —

c) strata migracyjna w łącznej wysokości 2,1 mil. mieszkańców.

Poza tym trzeba jeszcze wziąć pod uwagę straty na skutek spadku liczby urodzeń; nie wydaje się, by można je szacować mniej, niż 2,6 mil. zaniechanych urodzeń [2]).

*) Patrz „Naród i Państwo" Nr Nr 19-20, 21-22, 29-30, 39-40, 41-42 i 43-44.

[1]) *S. Szulc* — Zagadnienia demograficzne Polski, W-wa, 1936.

[2]) W latach 1915—1918 utrzymywała się liczba urodzeń o 40 — 45% poniżej rodności z roku 1913. Ponieważ dla r. 1913 nieznana jest łączna liczba urodzeń w Polsce, przyjęto za podstawę obliczeń przeciętną liczbę urodzeń z okresu 1906/11 w wysokości 1.129.000. W latach 1919—1921 rodność ta stopniowo wracała do normy, za którą przyjęto średnią z lat 1924/30 w wysokości 999.000. W oparciu o powyższe daty oszacowano niedobór urodzeń w latach 1915/18 na 2.032 mil., a w okresie 1919/21 — na 439.000.

Regeneracja zaludnienia dokonała się w zdumiewająco krótkim czasie, nawet jeśli się uwzględni, iż repatriacja z r. 1922 podniosła zaludnienie o 276.161 głów. Już w roku 1926 liczebność zaludnienia Polski osiąga poziom przedwojenny mimo wychodztwa a na skutek wysokiej rodności i słabnącej umieralności.

Normalny rozwój ludności załamuje się jednakowoż w r. 1931 i od tego czasu trwa niepohamowana i pogłębiająca się zniżka urodzeń. Zasługuje ona z dwóch względów na uwagę. Raz jako czynnik zmniejszającego się przyrostu naturalnego w ogóle, powtóre zaś jako punkt wyjścia przeobrażeń narodowościowo-strukturalnych na skutek różnic w natężeniu ruchu ludności. Tymczasem proces ten nie wywołuje zgoła żadnej realnej reakcji. Zwracają nań uwagę publicyści — nie zawsze może w sposób właściwy — eugenicy, których głos ginie niestety we wrzawie dnia codziennego — a co kwartał z okazji sprawozdań Głównego Urzędu Statystycznego i dziennikarze. Nie widać zaś literalnie żadnych prób konkretnego przeciwdziałania. Sensu stricto nie można właściwie nawet mówić o jakiejkolwiek polityce ludnościowej w Polsce, ponieważ ani korzystne, ani niekorzystne z punktu widzenia populacyjnego zarządzenia nie były nigdy świadomie pod tym kątem ani rozpatrywane ani przedsiębrane.

Ludnościowe wczoraj i dziś w Polsce to nawet nie bierne przyglądanie się grze żywiołu, ale niepojęty stan doskonałej obojętności i iście dziecięcej beztroski, krzewiących się bujnie na gruncie konkretnej ingnorancji, która wyjaśnia wprawdzie przyczyny ślepoty politycznej wobec najżywotniejszego problemu państwowego, społecznego i narodowego, ale ani przyczyn, ani jej samej nie usprawiedliwia i w żadnym razie nie tłumaczy.

Klasycznym przykładem jest w tym wypadku reforma uposażeń pracowników państwowych w r. 1934. Przeprowadza się ją w Polsce w czwartym roku nieprzerwanie utrzymującej się zniżki urodzeń, gdy sąsiad zachodni rozwija maksimum energii na polu wzmożenia rodności. Tak znakomita rozbieżność w metodach działania znajduje natychmiast jaskrawy i dla Polski wybitnie niekorzystny wyraz w kształtowaniu się liczebności urodzeń i przyrostu naturalnego obu państw (tablica 1).

Tablica 1.
URODZENIA I PRZYROST NATURALNY W POLSCE I W NIEMCZECH
(w latach 1924 — 1937; średnie roczne)

	URODZENIA				PRZYROST NATURALNY			
	Niemcy w tysiącach	‰	Polska w tysiącach	‰	Niemcy w tysiącach	‰	Polska w tysiącach	‰
1924 — 1937	1182,8	18,15	1019,7	30,06	430,3	6,05	451,7	14,30
1924—1927	1256,6	19,85	1246,2	33,72	499,5	7,90	478,7	16,22
1928—1932	1109,8	17,06	983,1	31,16	377,3	4,22	483,1	15,34
1933—1937	1196,6	17,88	875,1	26,04	427,9	6,40	398,9	11,88

Pięciolecie 1933 — 1937 jest w Niemczech okresem podniesienia liczby urodzeń i przyrostu naturalnego, w Polsce natomiast — spadku. W następstwie zdobywa niemiecki przyrost naturalny przewagę bezwzględną, gdy jeszcze w poprzednim pięcioleciu (1928—1932) górował przyrost polski.

Ewolucja znamienna i z pewnością niezamierzona. Niemniej jednak jest faktem i pociąga za sobą konsekwencje.

Nie ulega wątpliwości, że próba tłumaczenia spadku urodzeń wyłącznie wzmiankowaną ustawą byłaby nieuzasadniona, boć liczba czynników dysgenicznych jest oczywiście znacznie większa. Część ich zestawia *K. Sieńko)*, na inne zwracają uwagę *I. Czuma*[4]) oraz *Z. Lassotówna*[5]), o niektórych wspomina *L. Dydusiak*[6]). Jak wszędzie tak i w Polsce działa splot przyczyn, a więc i obyczajowe, i psychologiczne, i gospodarcze. Różnica zaś polega przede wszystkim na braku celowej i dostatecznie silnej reakcji, chociażby w sensie konsekwentnego anulowania ustaw antypopulacyjnych.

W związku z tym wytworzyła się paradoksalna sytuacja, że państwo, jako naczelny pracodawca, nie tylko zgłosiło desintéressement w sprawie wielkości rodzin i nie tylko przerzuciło pełne koszty utrzymania potomstwa na rodziców, ale posunęło się do premiowania bezżenności i bezdzietności [7]).

Szkodliwość i niewłaściwość tego rodzaju polityki zdaje się już dziś nie ulegać dyskusji.

*

Cele polskiej polityki ludnościowej. Naczelnym zagadnieniem polskiej polityki populacyjnej jest *stosunek do liczebności urodzeń* przede wszystkim z powodu gospodarczego niedorozwoju państwa jako całości i zaznaczającej się w ślad za tym dysharmonii między pojemnością ludnościową gospodarstwa społecznego a liczebnością zaludnienia.

Do wyboru staną 4 alternatywy. Polska polityka ludnościowa może iść w kierunku potęgowania rodności lub utrzymywania liczebności zaludnienia. Poza tym istnieje możliwość pozostawienia sprawy rodności swobodnemu rozwojowi lub zalecanie (obojętne w jakiej formie) neomaltuzjanizmu. Z miejsca eliminować należy w rozważaniach dwie ostatnie alternatywy, ponieważ nie podobna w dzisiejszym stanie rzeczy pozostawiać kwestii rodności swobodnej ewolucji, jak nie można akceptować neomaltuzjanizmu, chociażby z tej racji, że podniesienie raz obniżonej stopy urodzeń jest wielce problematyczne. Pozostają zatem dwie alternatywy, pomiędzy którymi należało by znaleźć rozsądny kompromis, polegający na powołaniu do życia *systemu świadczeń rodzinnych ograniczonych*[8]) do czworga lub pięciorga dzieci. Innymi słowy wydaje się, że w warunkach polskich, dla których charakterystyczne są duże trudności gospodarcze i paląca potrzeba kapitalizacji, obok silnego i żywego umiłowania dziecka, wystarczałby w zupełności powrót do zniesionego w roku 1934 ustawodawstwa. Znaczenie systemu świadczeń ograniczonych polega na wyrównaniu ciężarów rodzinnych, przy zaniechaniu „wyścigu" kołysek, niekoniecznie — jak sądzić wolno — pożądanego dla państwa z powodów natury ekonomicznej. Proponowany system świadczeń ograniczonych kryje w sobie wcale silną dynamikę, jeżeli się uwzględni, że warunkiem utrzymania liczebności społeczeństwa jest odchowanie przez dzietne małżeństwa 3 dzieci poza piąty rok życia [9]). Należało by jednak dążyć do: 1) objęcia świadczeniami nie tylko pracowników państwowych, 2) rozkładania zasiłków w ten sposób, by proporcja wzrastała silniej przy dalszych dzieciach [10]) i 3) upłynnienia świadczeń na rzecz noworodka po ukończeniu przezeń 1 roku życia (zasiłek winien być wpłacany na ręce matki). Wpłynęłoby to niewątpliwie na znaczne wzmocnienie opieki nad niemowlęciem [11]). Można by też pomyśleć o odpowiednio zorientowanej polityce awansów, przeniesień i t. d., zastrzegając pierwszeństwo dla dzietnych.

W konkluzji stwierdzić należy zatem, iż *Polska winna prowadzić politykę umiarkowanego popierania rozrodu.*

(d. c. n.)

---

[3]) *K. Sieńko* — O popieranie korzystnego rozrodu, W-wa 1937.

[4]) *I. Czuma* — Reformy prawne dla ochrony rodziny. Poznań 1936.

[5]) *Z. Lassotówna* — Opodatkowanie rodziny w Polsce, Lublin 1937.

[6]) *L. Dydusiak* — Opieka publiczno-prawna nad dzieckiem w Polsce, Lwów 1938.

[7]) Ubocznie zauważyć należy, że obowiązująca do r. 1934 ustawa uposażeniowa przyznawała dodatek rodzinny maksymalnie dla czworga dzieci. Nie może zatem w żadnym razie nawet uchodzić za wyraz polityki ilościowej. Państwo wspomagało tylko t. zw. małą rodzinę, a nie interesowało się zupełnie rodzinami wielodzietnymi.

[8]) Systemy świadczeń rodzinnych we Włoszech, Niemczech i Francji są nieograniczone, ponieważ cechuje je progresja warunkowana liczbą dzieci w rodzinie.

[9]) *P. Mombert* — Bevölkerungslehre, Jena 1929, str. 323.

[10]) Zakładając system świadczeń ograniczonych do 4 lub 5 dzieci, na które w obu wypadkach wypada łącznie à 100 jednostek, zastosować by należało następującą progresję: w systemie 4-ro dzietnym — pierwsze dziecko 10 jednostek, drugie 15, trzecie 20, czwarte 25, piąte 30 jednostek. Premia za pierwsze dziecko płatna w obu wypadkach po ukończeniu pierwszego roku życia (wypłata winna uwzględniać procenty).

[11]) Umieralność niemowląt w Polsce można by zmniejszyć o co najmniej 80.000 — 90.000 zgonów.

Roman Piotrowicz

Niemcy, Bałtyk i Sowiety

Z dziewięciu państw nadbałtyckich tylko pięć dysponuje również i innym niż bałtycki wylotem morskim. Znikoma długość pobrzeża Finlandii na Oceanie Lodowatym, przede wszystkim zaś jego ekscentryczne położenie w stosunku do ośrodków jej życia, redukuje ilość tych państw do czterech. Spośród tych ostatnich całość gospodarczego życia tak Szwecji jak i Danii koncentruje się raczej właśnie na wodach Bałtyku, tu bowiem leżą najważniejsze obu tych państw porty oraz główne centra ich ekonomicznych dyspozycji. Zupełnie inna pod tym względem jest nadbałtycka sytuacja Niemiec i Z.S.S.R.

Już wersalskie zjednoczenie Niemiec po roku 1871 przechyliło oś rozwojową Rzeszy na zachód, ku otwartym drogom mórz i oceanów. Rozbudowa przyszłości niemieckiej na morzach nie była fantazyjnym tylko wyczynem Wilhelma II, lecz leżała w samej naturze geograficznych warunków państwa niemieckiego, kierujących jego ekspansję z ośrodków największego napięcia ludzkiej twórczości wzdłuż najodpowiedniejszych dla tego linij komunikacyjnych. Drang nach Osten było wyrazem ducha pruskiego militaryzmu, poszukującego obszarów, poddanych i żołnierzy. Kierunek ku morzom, koloniom i niezagospodarowanym krajom egzotycznym wypływał natomiast z ducha *średniowiecznych miast Niemiec*, widzących dobrobyt swych obywateli w intensywnym uprzemysłowieniu kraju i korzystnym zbywaniu u obcych produktów ich pracy.

Dokonane w naszych oczach całkowite już zjednoczenie narodu niemieckiego tym bardziej powinno podnieść znaczenie zachodnio-morskiej osi rozwoju Rzeszy. Jeden bowiem tylko rzut oka na mapę Niemiec pozwoli na dowodne stwierdzenie, że największe zagęszczenie ludności niemieckiej oraz najgęstsze skoncentrowanie przemysłu niemieckiego wyraźnie wytyczają linie komunikacyjne Łaby, Wezery i Renu, otwierające ze swej strony niekończące się szlaki oceanów w największych portach Niemiec — Hamburgu, Bremie i Emdenie. Linia Dunaju, którego najgęściej zaludniony górny bieg w całości znalazł się w granicach Rzeszy, *niemieckie* swe wyjście ma raczej w portach Północnego morza w połączeniach z systemem Renu i Łaby, niż u naturalnego swego wylotu na wschodzie. Dla osiągnięcia bowiem tego wylotu przebiec musi przez terytoria czterech obcych państw i napotkać ponad to dwie morskie przez obcych kontrolowane zapory u cieśnin morza Czarnego i u przepływów Śródziemnomorza.

Natychmiast po Anschlussie podjęta realizacja połączenia rzecznych systemów Renu, Dunaju i Łaby wskazuje, jak się zdaje, że północno-południowa oś niemieckiej ekspansji otrzyma wkrótce techniczne środki swych działań. Przyśpieszenie prac nad realizacją tych połączeń będzie tym konieczniejsze, że łącząc austriackie kraje Rzeszy z portami północy, równocześnie otwierają one olbrzymie połacie południowego wschodu dla najrozmaitszych niemieckich poczynań. Polityczna niezależność tych ostatnich krajów będzie oczywiście krępowała wybujałości niemieckiej inicjatywy, rolnicze natomiast i surowcowe ich zasoby przedstawiają wielkie możliwości dla pokojowej z nimi współpracy Niemiec.

Jeżeli biegnące wzdłuż najbardziej zaludnionych i uprzemysłowionych rejonów linie komunikacyjne Niemiec skierowują ich ekspansję ku morzu Północnemu, lub na południe ku wylotom Dunaju, charakter ich gospodarczego rozwoju zmusza je do poszukiwań raczej rynków zbytu niż nowych ziem kolonizacyjnych. Kraje Austrii, zwiększając surowcowe zasoby Niemiec, przyczynią się do tym intensywniejszego rozwoju ich przemysłu, w szczególności przemysłu eksportowego. Już dziś, jak to wynika z oświadczeń ministra gospodarki Rzeszy, zajmuje ona drugie po Stanach Zjednoczonych miejsce co do wielkości produkcji przemysłowej i trzecie, po Stanach i W. Brytanii, co do rozmiarów eksportu. Wysoki stopień wewnętrznego nasycenia konsumcyjnego, charakterystyczny dla krajów o wysokim poziomie uprzemysłowienia i równomiernego zagospodarowania, będzie wzmagał z roku na rok potrzeby lokaty własnych wytworów na zewnątrz.

Takie rynki zbytu znaleźć może Rzesza w koloniach i krajach egzotycznych, dysponujących bogatymi zasobami naturalnymi i licznym zaludnieniem, lecz nie mogących rozwinąć własnego przemysłu wytwórczego. Rynkami tymi nie mogą, oczywiście, zostać kraje bałtyckiego rejonu, usiłujące rozwijać własny przemysł, korzystające w tym celu z każdej tonny dysponowanych surowców oraz odpowiednich dla tego uzdolnień swej, przeważnie zagęszczonej, ludności. Jeżeli nawet wyroby niemieckie mogą płynąć w granice tych państw, to nie będą one dysponowały tu tą samą swobodą podaży, co na rynkach własnych kolonij, przynoszących ponad to niezbędne Rzeszy surowce.

Jest rzeczą niewątpliwą, że na drodze Niemiec ku szlakom oceanów piętrzą się najrozmaitsze przeszkody. Przeszkody te są jednak przeważnie natury politycznej, a więc i bardziej zależnej od ludzkiej woli.

Silnym argumentem, przemawiającym w sprawie Niemiec, jest w tym wypadku nastawienie rozwoju międzynarodowych stosunków na szlakach oceanicznych. Te nowe nastawienia rozwojowe charakteryzuje fakt ustępowania Zachodu Europy ze zmonopolizowanych dotychczas przez niego zamorskich pozycyj wobec niesamowitego dynamizmu inno-rasowych narodów, jak również fakt, że t.zw. świat kolonialny, a na równi z nim i świat egzotyczny, są dotychczas tylko w drobnej części jako tako zagospodarowane. Toteż pomoc Rzeszy w walce o prymat Europy może niewątpliwie ułatwić przezwyciężenie dzisiejszych politycznych w tej dziedzinie przeszkód i otworzyć przed Niemcami szerokie światowe perspektywy, których nie daje im zaangażowanie się w ślepą ulicę rywalizacji z żywiołową energią i młodzieńczym dynamizmem odrodzonych państw bałtyckiego rejonu.

Z innych nieco przyczyn ustępuje Bałtyk na drugi plan sowieckiej polityki międzynarodowej. Jeżeli bowiem bałtyckie szlaki tworzą naturalne komunikacyjne przedłużenie dużej połaci Sowietów, to jednak ich całkowita prawie samowystarczalność oraz olbrzymie konsumcyjne możliwości własnego kraju, pozostającego do dziś, mimo olbrzymiego w tej dziedzinie wysiłku, w stanie minimalnego, kolonialnego prawie, nasycenia, redukuje ogromnie potrzeby i możliwości ich gospodarczej ekspansji na zewnątrz. Jeżeli więc sowieckie poszukiwania drogi ku „wolnym morzom" bynajmniej nie tracą swej ostrości, spowodowane jest to motywami raczej politycznymi, przyczym Bałtyk jest i tu stosunkowo mniej zdolny do zadośćuczynienia tym ambicjom. Pomijając bowiem, że otwarte tutaj przez carów „okno na Europę" przybrało dziś kształty małego okienka, łatwo zamykalnego od strony strzegących go baz dwu najbliższych sąsiadów, zasłonić go ponadto może dość skutecznie żaluzia floty niemieckiej, coraz skrupulatniej kontrolującej wyloty bałtyckie, a już całkowicie zaryglować wrogie ustosunkowanie się W. Brytanii, rywalizującej z Sowietami na wszystkich prawie polach ich światowej polityki.

Amfilada rozmaitych przeszkód, piętrzących się na bałtyckiej drodze Sowietów oraz wybitnie polityczne tendencje poszukiwań wolnych szlaków na morzach, skierowały ich uwagę ku Oceanowi Lodowatemu, gdzie klimatyczne warunki nie zamarzającego pobrzeża umożliwiają bezpieczniejsze otwarcie takiej właśnie drogi. Gigantyczny wysiłek, włożony w realizację „wielkiego północnego szlaku", nie jest zatem obliczonym tylko na reklamę bluffem. Realne bowiem w tej dziedzinie osiągnięcia stworzą możliwości bezpiecznych i najkrótszych połączeń wschodnich i zachodnich krańców sowieckiego imperium, jednakowo mogących służyć za bazy wypadowe ich światowej ekspansji. Budowa bałtycko-białomorskiego kanału wskazuje na defenzywną rolę Bałtyku, przeznaczonego, tak samo jak w wypadku Niemiec, do spełniania zasłonowych zadań w szer-

szych planach światowej polityki Sowietów. Surowcowa zasobność tych północnych pobrzeży może umożliwić gospodarczy ich rozwój i pomniejszyć doficytowość długich do nich dojazdów. Najdowodniej o tym świadczy nadzwyczaj szybkie zaludnianie się całego pobrzeża Murmanu.

Drugoplanowość Bałtyku w zadaniach światowej polityki Niemiec i Sowietów nie jest jednak bynajmniej równoznaczną ze znikomością jego w tej polityce roli. O ile bowiem przestrzenie jego wód nie stanowią czołowych pozycji w ich ataku na dotychczasowy ustrój świata, zasłaniają one najbardziej czułe nerwy tego ataku. Stąd też nieuniknione i imperatywne u obu mocarstw pragnienie zabezpieczenia się z tej strony, co w ich praktyce prowadzi do nieustannych dążeń w tej lub innej formie opanowania tych wód.

Wzajemne niemiecko-sowieckie ustosunkowanie się w ich polityce odnośnie bałtyckiej trampoliny przechodziło najrozmaitsze koleje. Wojenne unicestwienie niemieckiej potęgi zrodziło sowieckie złudzenia, że pozbycie się W. Brytanii z Bałtyku pozwoli Sowietom na łatwe uzyskanie przewagi nad skrępowaną traktatami Rzeszą. Stąd to idee zamknięcia Bałtyku przed okrętami z pozabałtyckiego rejonu, wprowadzone do traktatów z Finlandią i Estonią oraz poruszane na rozmaitych konferencjach. Trudna do zwalczenia przewaga W. Brytanii i kompletna w polityce światowej izolacja obu wymienionych mocarstw harmonizuje bałtycką ich politykę po uroczystym w Rapallo zbrataniu. Rozbudowa niemieckiego stanu posiadania na morzach oraz fortyfikacja kanału Kilońskiego, stanowiącego bazę ich morskiej potęgi, tworząc zupełnie uzasadnione obawy dostania się bałtyckiej odskoczni w niemieckie jedynie ręce, oziębiły tak gorącą przyjaźń i zmusiły do poszukiwania innych.

Antagonizmy sowiecko-niemieckie, reklamowane na rynkach międzynarodowych jako spory ideologiczne, mają również głębokie polityczne podłoże. Podłoże to nie ogranicza się tylko do niemieckich pożądań olbrzymich istotnie bogactw Ukrainy czy Kaukazu. Na drodze bowiem do politycznego osiągnięcia tych bogactw przez Niemcy stoi potężna bariera niepodległych narodów, zdecydowanych na obronę całkowitej swej niezależności. Antagonizmy te przejawiają się również na terenie rejonów, zabezpieczających oba te mocarstwa w dziedzinie różnych zdobywczych poczynań na szerokiej światowej arenie. Prawdziwe to jest zarówno na wodach bałtyckich jak i czarnomorskich, gdzie odwieczne rosyjskie parcie ku cieśninom oskrzydla niemiecki marsz ku wylotom Dunaju.

Karol Skarbek Radliński

Sprawa Kościoła Prawosławnego w Polsce

Odrodzona Rzplita, podejmując zerwaną w końcu XVIII w. nić tradycji państwowej, stanęła wobec całego szeregu zagadnień, przed którymi stawała i dawna Polska. Do takich historycznych, a przecież wciąż aktualnych zagadnień należy doniosła sprawa Kościoła Prawosławnego. Historycznie wiąże się ona z dobą podjęcia przez Polskę wiekopomnej pracy cywilizacyjno-kulturalnej na wschodzie Europy, gdy z chwilą pozyskania przez państwo polskie olbrzymich przestrzeni ruskich i rusko - litewskich, zamieszkałych przez wyznawców „wiary greckiej", zjawiło się przed Polską, jako jeden z podstawowych punktów systemu państwowego, nieznane Jej dotychczas w tym kształcie i ujęciu oraz w takich rozmiarach zagadnienie prawosławia. Chodzi tu naprawdę o wielką stawkę. Z jednej strony ekspansja wschodnia, jeśli miała się okazać zjawiskiem stałym, nie przejściowym, mogła być utrwalona nie tyle przez zewnętrzną uległość wobec silniejszej i sprawniejszej organizacji państwowej, ile przede wszystkim przez istotne, szczere, sięgające głębi dusz związanie elementów miejscowych z wkraczającym nowym zespołem form państwowych, życiowych czy psychicznych. Z drugiej strony otwierały się perspektywy jeszcze szersze: powstawało pytanie, kto, pozyskawszy dusze tej ludności, osiągnie przywództwo na szerokich równinach wschodnio-europejskich. Czy jednowiercza z przeważną masą ludności, ale związana z dobiegającym kresu swych dni Bizancjum, Moskwa, czy odmienna wyznaniowo Polska, czerpiąca pełną dłonią z bijących coraz silniejszym i głębszym nurtem źródeł zachodnich? Gdy zaś w ówczesnych stosunkach niemal wyłączną drogą, wiodącą w głąb duszy ludzkiej, była religia, obydwa powyższe pytania sprowadzały się koniec końców do jednego, zasadniczego zagadnienia: kto zjedna sobie uczucie religijne ludności, a zatem, z kim zwiąże się ogarniający tę ludność Kościół Prawosławny — z Polską, czy też nadal z Moskwą? Ten problem staje się też podstawowym dla władców polsko-litewsko-ruskich oraz główną nutą coraz wyraźniej występujących dysonansów pomiędzy Rzplitą i Moskwą.

Przez założenie własnej metropolii wyodrębniwszy w końcu XV w. ziemie ruskie od kościelnego związku z Moskwą, dokonawszy w drugiej połowie XVI w. zrównania państwowego prawosławnych z katolikami, Jagiellonowie — twórcy nowego państwa założyli podwaliny pokojowego współżycia dwóch odrębnych wyznaniowo odłamów ludności, nie zdołali jednak przecież uwieńczyć swego dzieła zrównaniem państwowym organizacyj kościelnych, co wyraziło się chociażby w niedopuszczeniu władyków prawosławnych do senatu, w którym zasiadali wszak biskupi katoliccy.

Niewątpliwe upośledzenie polityczne pociągnęło za sobą ten skutek, że godności owe nie nęciły przedstawicieli wyższych warstw społecznych. Z tym zbiegł się jednocześnie wielki upadek moralny samej hierarchii. Wynikiem było znaczne rozluźnienie związku pomiędzy życiem państwowym a prawosławnym oraz coraz głębsza dezorganizacja ustroju kościelnego. Wzmożona równorzędnie akcja unijna i wzmocnione — po utworzeniu patriarchatu moskiewskiego — aspiracje Kremla do kościelnego zwierzchnictwa nad ludnością prawosławną Rzplitej, przy nieporozumieniach prawosławnej hierarchii Polski z patriarchatem carogrodzkim, upowszechniły myśl związku z Rzymem. Wyrazem tego stała się unia brzeska. Nie zjednawszy przecież ogółu prawosławnych przez rozbicie ich na unitów, popieranych przez rząd, i dyzunitów, prawnie odtąd nie uznawanych, unia nie tylko nie doprowadziła do uspokojenia, lecz przeciwnie — pchnęła prawosławnych do szukania opieki i ochrony poza Polską — w Moskwie, tej Moskwie, przed której wkraczaniem na ziemie Rzplitej unia miała być zabezpieczeniem. Kiedy nadomiar złego hasło obrony prawosławia rzuciły i powstania kozackie, stało się jasne, że w interesie polskiej racji stanu leży uregulowanie tego zagadnienia, które by dzięki uznaniu prawosławnej organizacji kościelnej nawiązało zerwaną styczność pomiędzy nią a państwem polskim. Dokonane też w początkach rządów Władysława IV wznowienie metropolii prawosławnej, po kilkunastoletnich rządach znakomitego metropolity Mohyły, związało tak ściśle Kościół Prawosławny z Rzplitą, że kiedy po latach Chmielnicki poddawał Ukrainę Moskwie,

najdłużej opierała się uznaniu zwierzchnictwa carskiego... hierarchia prawosławna. Ustąpienie wszakże przez Polskę Zadnieprza wraz z Kijowem Moskwie w opinii polskiej przypisane zostało odśrodkowej akcji kół prawosławnych, wywołując z kolei zrozumiały zwrot na korzyść unii. Kiedy nadto metropolia kijowska, która zachowała nadal zwierzchnictwo nad ludnością prawosławną, mieszkającą na ziemiach Rzplitej, poddana została patriarchatowi moskiewskiemu, zwrot prounijny tak zyskał na sile, że w początkach XVIII w. w granicach Polski zdołało się utrzymać jedno już tylko biskupstwo prawosławne. Ogólny wzrost nietolerancji religijnej w Polsce XVIII w., odbijając się ujemnie i na położeniu Kościoła Prawosławnego, wywoływał coraz częstsze obronne wystąpienia Rosji. Pociągnęło to z czasem coraz silniejszy zwrot opinii publicznej przeciw prawosławnym, oskarżanym o szukanie obcej protekcji. Położenie wikłało się tym sposobem niesłychanie: opór przeciw najsłuszniejszym zasadniczo ustępstwom na rzecz prawosławnych stawał się poniekąd obroną niezależności państwowej, prowadząc przecież w tragicznym zaślepieniu do coraz częstszej interwencji rosyjskiej, wyzyskującej skwapliwie pod pretekstem obrony prawosławia możność wtrącania się do wewnętrznych spraw Polski dla urzeczywistnienia myśli rozbiorowej. Dopiero Sejm Wielki, podjąwszy doniosłe dzieło reorganizacji ustroju Rzplitej w celu zabezpieczenia Jej niepodległości, zrozumiał konieczność wciągnięcia do tego dzieła i Kościoła Prawosławnego, pozostawianego do tej pory pod wyłącznym niemal wpływem rosyjskim. Uchwały słynnej Kongregacji Pińskiej, zaaprobowane następnie przez Sejm, wznawiały niezależność hierarchiczną prawosławnej organizacji kościelnej w Polsce i wciągając do udziału w niej ogół duchowieństwa i wiernych, nawiązywały zerwaną łączność z życiem ogólno-państwowym.

Upadek Rzplitej spowodował, że niemal całość jej ziem, zamieszkałych przez wyznawców prawosławia, znalazła się pod władzą Rosji. Rząd rosyjski nie tylko narzucił tym ziemiom swój, obcy im najzupełniej, ustrój kościelny synodalno-konsystorski, ale i z Kościoła Prawosławnego uczynił jawne narzędzie rusyfikacji. W tych warunkach musiał siłą rzeczy wrócić tak tragiczny rozdźwięk, czy wprost rozłam pomiędzy nie tylko ogólną opinią polską a Kościołem Prawosławnym, służącym posłusznie idei wynarodowienia, lecz i pomiędzy ogółem wiernych, wśród których Rosjan prawie nie było, i duchowieństwem, będącym wyłącznie rosyjskim, bądź niebawem zupełnie zrusyfikowanym.

Toteż kiedy po wojnie w odrodzonej Rzplitej znalazła się znaczna ilość ludności prawosławnej, zagadnienie kościelne stało się specjalnie skomplikowane wobec nieufnego nastroju wiernych, zrozumiałej rezerwy społeczeństwa polskiego i rosyjskości hierarchii oraz duchowieństwa. Doświadczenia historyczne tym razem nie zginęły przecież bez śladu. Wydane już w 1922 r. Przepisy Tymczasowe o stosunku Rządu do Kościoła Prawosławnego w Polsce, regulujące doraźnie — jak to wskazuje sama nazwa — organizację Kościoła Prawosławnego, umożliwiły wytworzenie wewnętrznej więzi organizacyjnej, chociażby opartej o utrzymane nadal instytucje o genezie rosyjskiej. Uspokojenie i unormowanie prawosławnego życia kościelnego, dając najwymowniejsze świadectwo pozytywnej — mimo wszelkie braki — wartości Przepisów Tymczasowych, umożliwiło podjęcie drugiego z kolei punktu: zapewnienia Kościołowi Prawosławnemu w Polsce niezależności od postronnej władzy, zgodnie z fundamentalną zasadą kanoniczną, iż każdy Kościół Prawosławny, znajdujący się w granicach odrębnego państwa, tworzy samoistną (autokefalną) jednostkę kościelną. Zasada autokefalii, nabierająca specjalnej wymowy wobec ujawnionych aspiracyj wznowionego patriarchatu moskiewskiego do rozciągnięcia starym przykładem swego zwierzchnictwa i na ziemie Rzplitej, została podjęta i zrealizowana przez samą hierarchię Kościoła Prawosławnego Polski i — jako jedynie miarodajny wyraz woli tegoż Kościoła — była przyjęta do wiadomości zarówno przez Rząd Polski, jak i powszechną świadomość prawosławną.

Ustalenie organizacji wewnętrznej (Przepisy Tymczasowe) i samoistności (autokefalia) skonsolidowały życie prawosławne w Rzplitej i umożliwiły dalszą jego ewolucję w kierunku wytworzenia własnego oblicza. Ewolucja ta zaznaczyć się mogła dopiero po pewnym czasie; najdobitniej ujawniło ją orędzie Prezydenta Rzplitej z 30 maja 1930 r., wskazujące — przez nawiązanie do Kongregacji Pińskiej — te drogi, po których powinno pójść zasadnicze uregulowanie położenia Kościoła Prawosławnego w Polsce. Lat z górą 8 trwały prace przygotowawcze — ich rezultatem jest ogłoszony 19 listopada br. dekret o stosunku Państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Nie tu miejsce na szczegółowe omawianie jego przepisów i nie w nich, jako takich, mieści się jego znaczenie. Jak każde dzieło rąk ludzkich, przepisy te niewątpliwie nie zadowolą wszystkich i nie mogą zadość uczynić wszystkim roszczeniom, czy dążeniom. Jedno przecież nie podlega dyskusji: oto dokonał się akt historycznej doniosłości — Kościół Prawosławny w Polsce uzyskał swą „kartę konstytucyjną", tę kartę, którą jakby w wykonaniu testamentu Wielkiego Sejmu zrealizowała obecnie „nie umierająca nigdy" Rzeczpospolita.

Szczęsny

Nowe prawo małżeńskie Rzeszy

Wśród aktów scalających organizację prawną byłej Austrii z organizacją Rzeszy, na szczególną uwagę zasługuje ogłoszone pod datą 12 lipca b. r. obwieszczenie namiestnika Rzeszy, wprowadzające unifikację jednej z najdonioślejszych bodaj dziedzin prawa, bo prawa małżeńskiego i rozwodowego.

Ogłoszone jednocześnie w Dzienniku Ustaw dla kraju Austrii (poz. 244) oraz w Dzienniku Ustaw Rzeszy (str. 107) uzyskało nowe prawo moc obowiązującą na całym obszarze państwa już z dniem 1 sierpnia b. r. *).

Fakt ten, łącznie z pomieszczonym na wstępie omawianej ustawy zastrzeżeniem, wedle którego przeprowadzona reforma stanowi dopiero fundament dla ostatecznej w duchu narodowo - socjalistycznym przebudowy systemu prawa małżeńskiego, świadczy wymownie o szczególnym pośpiechu, a co za tym idzie o szczególnym znaczeniu, jakie ze stanowiska żywotnych interesów państwa przywiązywał rząd Rzeszy do co najrychlejszego unormowania tego zagadnienia.

Pomimo tylko co wspomnianego zastrzeżenia, świeżo promulgowane jednolite prawo małżeńskie Rzeszy w obecnej już szacie swojej nosi wyraźne cechy ideologii narodowo-socjalistycznej

Poddając siłą rzeczy bardzo istotnym zmianom dotychczasowe przepisy małżeńskie Rzeszy w stosunku do tejże kategorii przepisów austriackich, z właściwą im zasadą przymusowych ślubów religijnych oraz systemem nierozwiązalności małżeństw katolickich, — stanowi ono istotny przewrót.

*) Prawo to zasięgiem swej mocy obowiązującej przekroczyło już obecnie granice „wielkiej Rzeszy" z zaanektowaną Austrią i objęło obszar W. M. Gdańska, na którym weszło w życie z dniem 1 października b. r.

Recypowanie przez W. M. Gdańsk prawa niemieckiego, czy też trafniej może określając rzecz — oktrojowanie go przez rządzące czynniki narodowo-socjalistyczne, jest zjawiskiem tak znamiennym, że zasługuje na zwrócenie nań jak najbaczniejszej uwagi.

W ramach ujętej w 5 rozdziałach, 131 artykułach, jędrnej i przejrzystej treści, zawiera ujednostajnione prawo całość przepisów w zakresie małżeństwa, ustalając nie tylko warunki ogólne zawarcia go, przeszkody prawne, formę, skutki, rodzaje ustania itp., ale obejmując unormowaniem również stosunki majątkowe między małżonkami oraz stosunki między rodzicami i dziećmi w przypadkach, w których wspólnota małżeńska w ten czy inny sposób ustaje, w przepisach przechodnich i końcowych wreszcie stanowiąc sposoby i krótkie, (półroczne co najwyżej) terminy prekluzyjne rozwiązania wszelkich na tle dotychczasowego stanu prawnego powstałych trudności i anomalii.

Ideologia narodowo-socjalistyczna przejawia się przede wszystkim w samym zasadniczym podejściu do istoty małżeństwa.

Pojęcie małżeństwa w rozumieniu tym wyzute jest nie tylko z dawnego sakramentalnego charakteru, ale co więcej nie posiada więcej i cech zwykłej umowy prywatno - prawnej między stronami.

Małżeństwo w świetle nowego prawa przedstawia się jako doniosły akt państwowy (Hochheitsakt des Reiches), sankcjonujący związek celowy dwojga osób, w imię wysokich związku tego przeznaczeń, do jakich należy przede wszystkim zapewnienie wspólnocie narodowej ciągłości w rasowo czystych, dziedzicznie zdrowych oraz odpowiednio wychowanych pokoleniach.

To państwowe znaczenie aktu znajduje m. in. wyraz w przepisanej formule, którą przy udzielaniu ślubu obowiązany jest wygłosić urzędnik stanu cywilnego, a która na podobieństwo ferowanego wyroku sądowego, wywodzącego w słowach *„Im Namen des Reiches“* moc swą od państwa, w tychże słowach stwierdza ten sam rodowód faktu zawarcia małżeństwa (§ 18, ust. 1).

Państwowe znaczenie małżeństwa pociągnąć musiało również wzmocnioną siłą rzeczy nad nim reglamentację, ustanowienie nowych, uchylenie niektórych dawniejszych przeszkód małżeńskich (religijnych zwłaszcza, jeżeli idzie o Austrię).

W liczbie nowych przeszkód, powodujących już nie tylko unieważnienie zawartego pomimo nich małżeństwa, ale wręcz orzeczenie jego nieistnienia (Nichtseheerklärung), przodujące miejsce zajmują:

1) przeszkoda małżeństwa między osobami krwi niemieckiej bądź rodzajowo pokrewnej i osobami krwi rodzajowo obcej, ustanowiona już t. zw. ustawą norymberską o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiej czci z dnia 15 września 1935 r. (Dz. Rz. I, str. 1146),

2) przeszkoda niezdolności spełnienia małżeństwa, ustanowiona ustawą o dziedzicznym zdrowiu narodu niemieckiego (o zdrowym małżeństwie) z dnia 15 października 1935 r. (Dz. U. Rz. str. 1246)*).

Ale narodowo - socjalistyczne państwo totalne czuwa nie tylko nad zawiązywaniem węzła małżeńskiego. Te same względy, które każą mu pilnie baczyć nad początkiem małżeństwa, nie w mniejszym stopniu narzucają mu obowiązek ścisłego nadzorowania jego końca, więc stworzenia takiego systemu środków, który by dopuszczał rozwiązywanie małżeństw we wszystkich przypadkach, w których dalsze trwanie wspólnoty małżeńskiej ze stanowiska stawianych jej wysokich celów okazałoby się chybione.

Ustawodawca wszakże, przyznać trzeba, zachowuje w tym ostatnim względzie daleko idący umiar, pozostawiając w sprawach tych szeroki zakres swobodnego uznania sądom, przestrzegając przed stosowaniem zwłaszcza w sprawach rozwodowych zbytnich rygorów i zalecając każdorazowe kierowanie się takimi okolicznościami, jak np. długotrwałość małżeństwa, wiek małżonków itp. (§ 54).

Poza naturalną formą ustania małżeństwa przez śmierć jednego z małżonków, przewiduje ustawa trzy rodzaje jego ustania prawnego:

1) w następstwie orzeczenia nieistnienia małżeństwa,

2) w następstwie jego uchylenia (Aufhebung),

3) w następstwie rozwodu.

Jak z zestawienia tego wynika, wywodząca się z kanonów kościelnych instytucja *unieważniania* małżeństwa, prawdopodobnie ze względu na ten swój właśnie rodowód, wyłączona została z nowej kodyfikacji całkowicie i zastąpiona nową w pewnej mierze instytucją *uchylenia* małżeństwa. Inowacja ta nie ma wszakże istotniejszego znaczenia i sprowadza się do zmiany natury czysto terminologicznej.

Inaczej natomiast przedstawia się rzecz z instytucją rozłączenia od stołu i łoża, która z systemu kodeksu została istotnie całkiem wyelimonowana. Do sprawy tej nawiążemy zresztą przy sposobności omawiania przepisów specjalnych dla Austrii.

Do rzędu powodów, uzasadniających orzeczenie *nieistnienia* małżeństwa, oprócz powszechnie przyjętego — braku formy, zalicza ustawa przede wszystkim przytoczone już wyżej przeszkody różnicy krwi i niezdolności małżeńskiej, a dalej brak zdolności do działań prawnych i brak rozeznania, istniejący węzeł małżeński, pokrewieństwo, powinowactwo i cudzołóstwo, o ile od dwóch ostatnich nie udzielono zwolnienia, wreszcie rzecz zgoła nowa, — t. zw. *małżeństwo gwoli nazwiska i obywatelstwa* (§ 23), t. j. małżeństwo zawarte w wyłącznym lub przeważającym celu umożliwienia żonie nabycia nazwiska bądź obywatelstwa męża. Konstrukcja ta godna jest niewątpliwie uwagi, aczkolwiek przeprowadzenie dowodu *„wyłącznego“* bądź *„przeważającego“* celu małżeństwa nie wydaje się w praktyce osiągalne, a w każdym razie nie wydaje się być łatwe.

Z zarzutem nieistnienia małżeństwa, zawartego wbrew przeszkodzie krwi i zdrowia, występować może z urzędu wyłącznie prokurator. W pozostałych przypadkach prawo to służy prokuratorowi i każdemu z małżonków, ewentualnie także małżonkowi z poprzedniego małżeństwa, — nigdy natomiast osobie trzeciej.

Podobnym mutatis mutandis ograniczeniom podlega prawo skargi o ustalenie nieślubności dziecka z małżeństwa nieistniejącego (§ 29 i nast.).

Stosunki majątkowe między małżonkami z małżeństwa nieistniejącego, o ile nie zawarto odmiennego układu, określa się zasadniczo wedle przepisów, normujących stosunki te w następstwie rozwodu, przyczym małżonka, któremu powód nieistnienia znany był w czasie zawarcia małżeństwa, traktuje się na równi z małżonkiem, względem którego w wyroku rozwodowym orzeczono winę.

Powody do uchylenia małżeństwa, zgodnie z uwagami, jakim co do tego rodzaju rozwiązania małżeństwa dano wyraz już wyżej, odpowiadają na ogół dawnym powodom unieważniającym. Należą tu więc: brak zezwolenia przedstawiciela ustawowego, błąd co do zawarcia małżeństwa, co do osoby bądź okoliczności dotyczących osoby drugiego małżonka, podstępne wprowadzenie w błąd, wreszcie groźba.

Systemat *prawa rozwodowego*, jako trzeciego z kolei (ściślej drugiego z systemów rozwiązania małżeństwa, zważywszy że orzeczenie nieistnienia ściśle rzecz biorąc rozwiązaniem nie jest), — oparto na dwóch zasadach: *zasadzie winy* (uchybienia przeciwko małżeństwu) oraz niezależnego od winy *zachwiania istoty małżeństwa*, przy czym żadnej z zasad tych nie dano jednostronnej przewagi.

Do kategorii uchybień przeciwko małżeństwu, spowodowanych winą, zaliczono: cudzołóstwo, odmowę podtrzymania gatunku tudzież ciężkie uchybienia przeciwko małżeństwu, jak niecne lub niemoralne zachowanie się; do drugiej kategorii, a więc zachwiania istoty małżeństwa bez winy: chorobę umysłową, chorobę zaraźliwą lub budzącą odrazę oraz przedwczesną niepłodność.

Przedawnienie prawa do skargi bywa dłuższe lub krótsze, zależnie od okoliczności.

Małżonek, który ukończył lat trzydzieści i przetrwał w małżeństwie lat dziesięć, prawa do skargi nie ma.

Jeżeli idzie o skutki rozwodu w zakresie nazwiska, mężatka w zasadzie zachowuje nazwisko męża. Może wszakże wrócić do panieńskiego nazwiska, a także może odzyskać nazwisko męża, które nosiła przed zawarciem rozwiedzionego małżeństwa, o ile z poprzedniego małżeństwa pozostało potomstwo.

Noszenie nazwiska męża zarówno z rozwiedzionego jak i z poprzedniego małżeństwa może być mężatce zakazane, o ile w wyroku rozwodowym uznano ją za wyłącznie bądź w przeważającej mierze winną, bądź jeżeli stała się po rozwodzie winną ciężkiego przewinienia względem męża lub prowadzi bezecny bądź niemoralny tryb życia.

Prawo skargi służy mężowi z rozwiedzionego ewentualnie z poprzedniego małżeństwa, a jeśli nie żyje — krewnym jego do drugiego stopnia; w przypadku zaś, gdyby zawarł ponowne małżeństwo — także pozostałej po nim wdowie, wreszcie — sądowi opiekuńczemu.

Skutki rozwodu w zakresie stosunków majątkowych między małżonkami, praw spadkowych i alimentarnych, unormowane wyczerpująco licznymi przepisami proceduralnymi, określają się zasadniczo w zależności od orzeczonej winy i jej stopnia, przy szerokim uwzględnieniu praw nabytych w dobrej wierze, jakoteż całości okoliczności sprawy, przy czym sądowi pozostawiono w znacznej mierze swobodne uznanie i otwartą drogę do orzekania na zasadzie słuszności.

Podobnie, w granicach ogólnych wytycznych, swobodnemu uznaniu sądu w szerokiej mierze podlega kwestia opieki nad dziećmi, o której w ostatniej linii roztrzyga interes dziecka.

Przechodząc z kolei do przeglądu przepisów specjalnych, dotyczących Austrii, nie można nie podkreślić choćby najbardziej tylko przełomowych zmian, jakie w organicznym związku z całością kodyfikacji, wnoszą one do dotychczasowego systemu prawa małżeńskiego, a więc prawa, które, licząc od kodeksu cywilnego z 1811 roku, przetrwało w tym kraju z górą stulecie, jeśli zaś uwzględnić poprzedni, na

*) Ustawa ta dotychczas na obszarze Austrii w życie jeszcze nie weszła.

analogicznych zasadach oparty stan prawny — po wielekroć więcej.

Oto w krótkości one:

1) Przymusowe dotychczas dla olbrzymiej większości ludności katolickiej tudzież dla wyznawców innych, uznanych przez państwo wyznań, śluby religijne zepchnięte zostały do roli dodatkowego akcesorium, z którego nie wolno wszakże korzystać wcześniej, jak dopiero po zawarciu właściwego małżeństwa cywilnego.

Przekroczenie tego zakazu podlega grzywnie do 10.000 mk., bądź ścisłemu aresztowi do lat 5 (§ 100).

2) Do czasu rozciągnięcia na Austrię obowiązującej w Rzeszy ustawy z dnia 6 lutego 1875 r. o urzędowym stwierdzaniu stanu cywilnego i o zawieraniu małżeństw, co nastąpić ma z dniem 1 stycznia 1939 r., odjęte duchownym wyznań uznanych przez państwo funkcje urzędników stanu cywilnego przekazano tymczasowo — starostom, w miastach wydzielonych — burmistrzom, w okręgu Burgenlandu — również osobom świeckim w osobie dotychczasowych „prowadzących metryki" (*„Matrikenführer"*) (§ 99).

3) Rozłączenie od stołu i łoża (używając dotychczasowej terminologii austriackiej, *„Scheidung von Tisch und Bett"*), orzeczone wyrokiem prawomocnym, przedzierzga się w rozwód (*„Trennung dem Bande nach"*). Wystarczy w tym względzie zwykły wniosek stron, zgłoszony w właściwym sądzie okręgowym. Sąd po ustaleniu faktu, iż orzeczenie rozłączenia rzeczywiście prawomocnie nastąpiło, stanowi rozwód, bez przeprowadzania ponownego procesu.

4) Stan niepewności prawnej w zakresie t. zw. małżeństw na podstawie dyspensy (*„Dispensehe"*) ustaje, tj. podlega ostatecznemu w tym czy innym kierunku ustaleniu, najpóźniej do dnia 1 stycznia 1939 roku*).

W ten sposób dwuznaczna sytuacja małżeństw na podstawie dyspensy, których w samej Austrii, wedle przybliżonych zestawień statystycznych, liczyć się ma na 50.000, ulegnie do końca b. r. ostatecznemu pod względem prawnym skrystalizowaniu.

•

W tych mniej więcej zarysach pomyślana ustawa wzbudzi, jak każde dzieło ludzkie, szczery i głośny entuzjazm jednych — równie szczery, acz ze zrozumiałych względów głuchy, bo utajony głęboko — protest drugich.

Po stronie entuzjastów staną jak jeden mąż wszyscy więcej lub mniej prawdziwi wyznawcy ideologii narodowo - socjalistycznej oraz szerokie warstwy zainteresowanych osobiście, — po stronie przeciwnej znajdzie się wraz z całą rzeszą wiernych — przede wszystkim Kościół Katolicki, a także i niemałe grono tych, w których żyły za sprawą złego losu wdała się choćby kroplą domieszka obcej krwi.

Jakkolwiek by jednak ustosunkować się wypadło do poszczególnych zasad tego najnowocześniejszego źródła prawa, jakkolwiek by godzić lub niegodzić się z tym czy innym szczegółem w jego architekturze, niemniej przyznać trzeba bezstronnie, że na ogół opiera się ono na zdrowych, bo rzetelną troską o przyszłość narodu scementowanych fundamentach, że całość jego w zetknięciu z życiem wytrzyma niewątpliwie próbę czasu, że wreszcie tempem samym i śmiałym dźwignięcia swego rozmachem—ze stanowiska naszych w dziedzinie tej stosunków—imponuje i, wyznajmy szczerze, budzi zazdrość.

---

*) W tym miejscu wyjaśnić wypada, że małżeństwo na podstawie dyspensy (Dispensehe) jest zjawiskiem specyficznym, wyrosłym na gruncie dotychczasowego austriackiego prawa małżeńskiego, a co za tym idzie zjawiskiem nie obcym naszym stosunkom na obszarze województw południowych i cieszyńskiej części województwa śląskiego.

Pod pojęciem tym rozumieć należy powtórne małżeństwo religijne, zawarte na podstawie udzielonej przez kościół dyspensy od istniejącej przeszkody pierwotnego małżeństwa, — na tej, w przeważającej mierze, podstawie, że małżeństwo pierwotne nie zostało spełnione *(matrimonium ratum sed non consumatum)*. W świetle tymczasem austriackiego kodeksu cywilnego z 1811 r., unieważnienie małżeństwa nastąpić może jedynie w drodze wyroku wydanego w tym względzie przez wyłącznie właściwy sąd powszechny.

W związku z tym zarówno dyspensa (tryb i tytuł jej udzielania) jak i ponowne małżeństwa, o czym mowa wyżej, w obliczu obowiązującego prawa nie miały żadnego znaczenia. W konsekwencji wytwarzała się rażąca kolizja między stanem prawnym, wedle którego moc prawną miało tylko pierwsze małżeństwo i stanem faktycznym, wedle którego, przeciwnie, istniało tylko uświęcone przez kościół małżeństwo ponowne.

W dążeniu do uregulowania tego doniosłego zagadnienia przyjmuje ustawa za punkt wyjścia datę 1 kwietnia 1938 r. ewentualnie datę śmierci jednego z małżonków z małżeństwa na podstawie dyspensy.

Jeżeli w tym czasie małżonkowie żyli w wspólności małżeńskiej, małżeństwo ich siłą faktu uznaje się za ważne od początku. Jeżeli w wymienionym czasie wspólność małżeńska już nie istniała, może każdy z małżonków z ponownego małżeństwa a także małżonek z poprzedniego małżeństwa wystąpić z wnioskiem o orzeczenie nieistnienia ponownego małżeństwa (małżeństwa na podstawie dyspensy), przyczym za uzasadnienie wniosku starczy powołanie faktu, iż w ustawowym terminie małżonkowie z ponownego małżeństwa (na podstawie dyspensy) nie pozostawali w wspólnym pożyciu.

W razie niezłożenia takiego wniosku do dnia 1 stycznia 1939 r. bądź w razie oddalenia go, małżeństwo na podstawie dyspensy uprawnia się automatycznie, podobnie jak w pierwszym przypadku, małżeństwo zaś poprzednie (od którego udzielono dyspensy) uznaje się za rozwiedzione od chwili zawarcia ponownego małżeństwa.

Małżonek, który zawarł małżeństwo na podstawie dyspensy, obowiązany jest wówczas pod rygorami prawa zgłosić niezwłocznie w sądzie okręgowym wniosek o zarządzenie w rejestrze ślubu właściwym ze względu na swe pierwotne małżeństwo adnotacji, iż małżeństwo to uległo rozwiązaniu przez rozwód.

Na marginesie

DZIKOŚĆ

O Niemczech współczesnych, podobnie zresztą jak i o Sowietach, nie sposób myśleć bez pewnych analogii z tymi okresami historii, w których dzikość i okrucieństwo było dominującym elementem życia społecznego.

Geneza tych analogii zresztą jest dość prosta. Społeczeństwu, któremu odbierze się możność swobodnego rozwoju jego duchowych wartości, trzeba wzamian coś dać. Hasłem tłumów w tego rodzaju okresach w starożytności był chleb i igrzyska. Gdy nie ma chleba, zawsze jeszcze pozostaje igrzysko i krew.

W Niemczech emocje związane z realizacją wysokich i wartościowych celów politycznych wystarczają tylko połowicznie. Tłum nimi podniecony, ograniczony natomiast zarówno w zakresie wolności jak chleba, potrzebuje wyładowań innego rodzaju. Dla systemu rządów absolutnych wygodnie jest, jeśli podniety tego rodzaju nie dają zbyt długo na siebie czekać.

W ostatnich zorganizowanych wyładowaniach dzikości i okrucieństwa w stosunku do mas żydowskich, pociągniętych do krwawej odpłaty za morderczy i zbrodniczy czyn jednostki, jest pewien element nasycania w ten sposób silnie rozbudowanego głodu ostrych wrażeń. W podobnych wypadkach jednak liczyć się trzeba z faktem, że nasycenie tego rodzaju jest tylko przejściowe, po którym — jak po każdym narkotyku — przychodzi wzmożona potrzeba dalszych podniet i zwiększonych dawek. Tworzy się błędne koło, z którego wyjściem może być albo zupełne wyczerpanie, albo radykalna zmiana sytuacji.

W każdym razie ostatnie wypadki raz jeszcze potwierdzają, że dobra obserwacja i analiza procesów zachodzących w Niemczech jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi dla wszystkich pozostałych państw Europy, a bodajże nawet i nie tylko Europy.

NOMINACJE

Nastąpił ostatni akt uzupełnienia składu Izb — nominacja 32 senatorów, powołanych przez Prezydenta Rzeczypospolitej.

Wybór osób jest w tym wypadku wyłącznym prawem i przywilejem Głowy Państwa. Toteż w ocenie składu nominatów chcielibyśmy zwrócić uwagę tylko na jeden moment natury zasadniczej, na konsekwentnie utrzymywaną obecność wśród nominatów przedstawicieli społeczeństw mniejszości narodowych i wyznaniowych.

Przez szereg lat systematycznie powtarzało się zjawisko, że Polska występowała w Genewie na ławie oskarżonych o niedostateczne poszanowanie praw i interesów grup mniejszości narodowych. W roli prokuratura występował przeważnie, w takiej czy innej postaci, Sekretariat Generalny Ligi Narodów — zakulisowym oskarżycielem i powodem podtrzymującym oskarżenie były niemal zawsze Niemcy.

Dzisiaj w Niemczech szaleje terror w jego najdzikszej, najpierwotniejszej postaci. Polska w stosunku do swych mniejszości utrzymuje tradycję, że w poszanowaniu ich praw i zabezpieczeniu możności obrony ich interesów może iść dalej, niżeli wymaga tego litera ustawy, o ile jest to zgodne z nadrzędnym interesem Państwa. Symbolem takiego stosunku jest właśnie fakt wprowadzenia na listę senatorów-nomina-

tów również i przedstawicieli mniejszości narodowych.

Wśród tych przedstawicieli po raz drugi są dwaj senatorowie Niemcy. Fakt ten nie budzi wśród społeczeństwa polskiego zgorszenia i niezadowolenia. Budzi natomiast naturalne i zrozumiałe w podobnym wypadku zapytania, czy i kiedy po drugiej stronie naszej granicy zachodniej zmieni się dotychczasowy stan, usuwający tamtejszą ludność polską od wszelkiej możności pretendowania nawet do posiadania własnych zastępców parlamentarnych.

Na odrębną wzmiankę zasługuje nazwisko dra Zmigrydera-Konopki. Przez znaczną część prasy nazwisko to zostało potraktowane jako nazwisko jednego z dwóch nominatów ze społeczeństwa żydowskiego. Jest to daleko idąca nieścisłość. Dr Zmigryder-Konopka jest uczestnikiem ruchów niepodległościowych polskich z okresu niewoli, dobrowolnym orężnym bojownikiem wolności, jednym z tych, którzy, używając określenia poetyckiego, potrafili „szablą gołą zatwierdzić się Polakiem".

Sytuacja tej grupy ludzi w ostatnim okresie stała się szczególnie trudna. Ostry stan sprawy żydowskiej spowodował, że w społeczeństwie polskim, obok tych, którzy dążą istotnie do realnych posunięć w tej sprawie, występują szczególnie jaskrawo ci, którzy pragną szerzyć nienawiść dla nienawiści, hołdując poza tym jednej tylko zasadzie słynnego Joachimka z wywiadu Marszałka Piłsudskiego: „byle szum, byle szum!".

Nominacja dra Konopki jest tutaj znamiennym symbolem, mówiącym, że Polska, dążąc do planowego załatwienia sprawy żydowskiej, nie ma zamiaru iść po drodze ślepego i na wszystko głuchego fanatyzmu, w szczególności zaś, że umie i będzie umiała docenić wartość bezinteresownego i ofiarnego związku z polskością, udokumentowanego dobrowolnym udziałem w naszych walkach wyzwoleńczych ostatniego okresu niewoli.

WYBORY SAMORZĄDOWE

Stronnictwa, które cofnęły się od rozgrywki na terenie polityczno-parlamentarnym, zapowiedziały przeniesienie tej rozgrywki na teren gospodarczo-samorządowy. Ilość list, zgłoszonych w poszczególnych okręgach wyborczych m. st. Warszawy, istotnie jest znaczna. Niemniej i na tym terenie nie widać bynajmniej w akcji agitacyjnej stronnictw wkładów tak wielkiej energii, jak tego można było oczekiwać, sądząc po zapowiedziach. Przyczyna zapewne jest dość prosta. Najbardziej nawet pewne siebie stronnictwo nie może dać wiele więcej energii, niżeli jej w istocie posiada. Zakres istotnego wpływu stronnictw opozycyjnych na masy jest bezwątpienia o wiele mniejszy, niżeli wynikało z zapowiedzi. Stąd też atmosfera przedwyborcza daleka jest dotychczas od rozpalenia do białości.

Nie lubimy żadnych przewidywań i przepowiedni. Zaryzykujemy jednak twierdzenie, że wybory samorządowe w Warszawie bynajmniej nie będą potwierdzeniem i uzasadnieniem tezy o wielkich wpływach stronnictw opozycyjnych, które nie mogły ujawnić się w akcji wyborczej do izb parlamentarnych.

Gdyby jednak okazało się, że się mylimy? Gdyby istotnie na terenie przyszłej Rady Miejskiej wytworzyła się większość złożona z koalicji najrozmaitszych czynników opozycyjnych — cóż wówczas?

Sytuacja, która się wówczas wytworzy, będzie niezmiernie ciekawa i charakterystyczna. Nowa Rada Miejska przyjdzie po kilku latach gospodarki komisarycznej, o której każdy, kto cośkolwiek styka się z zagadnieniami m. st. Warszawy, musi przyznać, że w dziejach tego pierwszego miasta Rzeczypospolitej stanowi datę historyczną, datę, której wyrazem może być istotnie chłopskie hasło z „Wesela" Wyspiańskiego: „skończyć nędzę, zacząć dzieła!".

I otóż — jest to wciąż pytanie nawskroś teoretyczne — co wówczas poczęłaby ta opozycyjna większość? Czy zdobyłaby się na aprobatę i legalizację minionego okresu rządów komisarycznych, czy poszłaby po linii ryzykownej zmiany, mającej niejako uzasadnić, że tam, gdzie decyduje swobodny głos czynników politycznych, względy natury rzeczowej muszą zejść na plan drugi w stosunku do względów natury prestiżowo-grupowych?

Odpowiedź na to pytanie miałaby bodajże poważnie większe znaczenie, niżeli tylko decyzji o sprawie miejskiej, czy personalnej. Sięgałaby do podstaw bolączek i niedomagań, związanych ze stałymi czy przejściowymi chorobami demokracji, pojętej jako niesienie odpowiedzialności za rzeczy publiczne nie przez jednostkę, lecz przez zbiorowość.

Czy pytanie to wyłoni się realnie przed przyszłą Radą Miejską — wątpimy. Niemniej byłaby to próba wysoce ciekawa i znamienna, choć obawiamy się, że wynik jej nie byłby budujący i nie nastrajał na przyszłość optymistycznie.

POŁĄCZENIE

Na innym miejscu drukujemy otrzymaną odezwę, informującą o przygotowywanym połączeniu dwóch organizacyj młodzieży— Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych.

Sprawie tej chcemy poświęcić kilka słów omówienia. Niejednokrotnie dawaliśmy wyraz przekonaniu, że w życiu Narodu sprawa Jutra jest ważniejsza przeważnie od sprawy dzisiejszych trosk i kłopotów. Toteż zagadnienie ideowego życia młodzieży musi być uważane za sprawę znaczenia zupełnie zasadniczego.

Połączenie Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych może być dla terenu akademickiego faktem dużej wagi. Nie dlatego, że przez połączenie to powstaje mechanicznie organizacja o sile odpowiadającej sumie sił składowych, łączących się organizacyj. W świecie ideowego działania prawa mechaniczne i prawa matematyczne nie znajdują uzasadnionego zastosowania. Pozytywne znaczenie tego faktu widzimy w innej płaszczyźnie.

Życie organizacyjne młodzieży, szczególnie młodzieży akademickiej, układało się w latach ostatnich pod złym wpływem przeszczepianych przeważnie z terenu t. zw. „starszego społeczeństwa" zasad: 1. taniej rywalizacji organizacyjnej, 2. ślepego licytowania się hasłami, nie zawsze opartymi o mocny podkład istotnej wiary, 3. niedocenienia wartości istotnie programowej, samodzielnej, na dłuższą metę obliczonej pracy, biorącej za podstawę realny układ stosunków, lecz równocześnie pragnącej być, według określenia statutu historycznego już dziś „Zetu", nieustającym „zarzewiem narodowego postępu".

Dla organizacji młodzieży, która w realnej pracy postawi dzisiaj przed sobą zadanie pielęgnowania w swym zespole zasad śmiałości, uczciwości i szczerości myślenia — otwierają się, naszym zdaniem, bardzo szerokie możliwości ze wszech miar pozytywnego oddziałania na jutrzejszy układ stosunków wśród młodzieży, przede wszystkim zaś na terenie wyższych uczelni.

Wierzymy, że nowa organizacja, wyłoniona w rezultacie połączenia dotychczasowego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych, będzie zdolna do tego rodzaju pracy. Wierzymy również, że fakt połączenia, będący zawsze wyrazem pewnego przezwyciężenia ambicji i przyzwyczajeń organizacyjnych, poważnie podniesie jej zdolność i zakres działania. I stąd do wiadomości o osiągniętym porozumieniu ustosunkowujemy się jako do faktu o dużym i pozytywnym znaczeniu.

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Żórawia 7 m. 30, t. 809.20.

ŻYCIE MŁODZIEŻY

Przed połączeniem Z. P. M. D. i Legionu Młodych

Od Komitetu Porozumiewawczego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych otrzymaliśmy z prośbą o zamieszczenie następującą odezwę:

Koleżanki i Koledzy!

Już w najbliższych tygodniach, na uroczystym Kongresie w Warszawie, powołana zostanie do pracy i do walki nowa, potężna organizacja młodego pokolenia.

Nowa organizacja powstaje z połączenia wszystkich grup młodych piłsudczyków z Z. P. M. D. i Legionem Młodych na czele.

W szeregach jej znaleźć się musi każdy młody Polak-ideowiec, który realną pracą pragnie wykuwać Nową Polskę potężną i sprawiedliwą, wielką i postępową, — Polskę wolności i siły, ludową i żołnierską. Polskę pracy i sprawiedliwości społecznej.

Koleżanki i Koledzy!

Wy wszyscy, którzy pragniecie żyć, walcząc o wielką Sprawę, którzy pragniecie oddać się pracy społecznej i kształtować oblicze ideowe i organizacyjne młodego pokolenia —

— jeżeli nie wystarcza Wam płytka demagogia totalistycznego O. N. R.-u,

— jeżeli odstrasza Was zacofanie i bezpłodna negacja Młodzieży Wszechpolskiej,

— jeżeli chcecie się przeciwstawić wywrotowym hasłom agentur i międzynarodówek,

— jeżeli brzydzicie się fałszywym pseudoradykalizmem subwencjonowanych głosicieli „przełomu narodowego" wstąpcie do szeregów młodej, zorganizowanej i patriotycznej demokracji!

Wszyscy, którym odpowiada nasza ideologia, wezmą gremialny udział w inauguracyjnym Kongresie w Warszawie.

Informacji udziela Komitet Porozumiewawczy Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych.

ZYCIE PROWINCJI

Życie jak książka kucharska...

Ilekroć zastanawiam się i biorę pióro do ręki, aby rzucić kilka uwag o treści, miąższu ideowym, marzeniach i aspiracjach życia kulturalnego Białegostoku, tyle razy przychodzi mi na myśl książka Adolfa Rudnickiego „Szczury". Wówczas przewracam kartkę po kartce tej makabrycznej książki i dochodzę do przekonania, że powieść ta nie jest płodem przewrażliwionej wyobraźni autora, lecz, że właśnie tutaj na terenie Białegostoku — nabiera cech prawdopodobieństwa, kształtów realnej rzeczywistości. Ludzie Rudnickiego, to szczury przyczajone w małomiasteczkowych rynsztokach. Wprawdzie nie są oni rażeni atrofią woli, a ich organy funkcjonują nawet dość wprawnie. Ale życie ich to tylko biologiczna wegetacja, monotonna, bezcelowa, nieruchawa. Toczy się to życie z dnia na dzień, jednakowe, nudne jak deszczowy wieczór, gdy wszystko jest mokre i pochmurne, życie bezbarwne i męczące. I pomyśleć, że ta pustka i ten monotonny kołowrót codzienności, będący tłem książki Rudnickiego, ma poniekąd odbicie w życiu stu-tysięcznego miasta, a wystarczy aby stwierdzić, że życie to trzeba leczyć dość osobliwą terapią: wyrwać ludzi z biernej kontemplacji ciosem brutalnej, sękatej pięści. Należy przenicować fikcję ich świata, by go nazewnątrz siebie widzieli.

Istotnie, dziwne jest to miasto. Oto ośrodek przemysłowy pozbawiony jest w pełnym tego słowa znaczeniu — księgarni. Witryny zaś istniejących księgarenek, przypominając przechodniom nowości sprzed kilku lat (przeważnie z kręgu zagadnień seksualnych), świadczą o jakimś automatyźmie zaczarowania i melancholii duchowego bezwładu tego, bądź co bądź, wielkiego wojewódzkiego miasta. Miasta omijanego i lekceważonego przez prelegentów wszelkiego autoramentu, literatów i publicystów; miasta, oblekającego życie w kształt jedyny i nieodtwarzalny, miasta — powiedzmy otwarcie — spowitego w czarną zasłonę agnozy.

Dlaczego tak jest i czym można wytłumaczyć przyczyny tego stanu rzeczy? Przede wszystkim Białystok pozbawiony jest tradycji kulturalnej. Stąd ludzie żyją tutaj zamknięci w pustelniach własnej wyobraźni, jak poczwarki w jedwabnych kokonach. Są oni jak gdyby pochłonięci beztreściwym konsumowaniem wrażeń, których kiedyś nie odczuwali — nie doznawali. Ponad-to brak jest jakiejś organizacji, względnie jednostek, które swoim ciężarem gatunkowym potrafiłyby nadać życiu odpowiedni ton i barwę. Istniejące Towarzystwo Miłośników Historii, Literatury i Sztuki, prawdę powiedziawszy, było do niedawna w stanie co najmniej letargicznym. Na jego ożywienie nie wpłynęła nawet osoba p. Glinki, znanego badacza przeszłości historycznej Białegostoku. Odmłodzony teraz skład Towarzystwa być może potrafi scentralizować wokół siebie jednostki wartościowe i wtedy kto wie, czy nie nastąpi ożywczy wyłom w murach zgrzybiałej Grenady. Bo trzeba naprawdę silnych zębów, aby przegryźć wędzidła tej kulturalnej obojętności. Trzeba nauczyć ludzi, aby na nonsensy wygłaszane w odczytach o sztuce potrafili odpowiednio i skutecznie zareagować. Sprawy kultury nie mogą być terenem pretensjonalnego dyletantyzmu. Nie chodzi tutaj oczywiście o jakieś miejscowe, prowincjonalne rozgrywki i porachunki, lecz o fakt, że miasto, które z racji swojego położenia winno promieniować i starać się wciągnąć w orbitę polskiej kultury jednostki, grupy, oddalone od niej z tych czy innych względów, uprawia kult niekompetencji i kulturalnej bierności. Aby zrozumieć rozmiar i znaczenie tego zjawiska, wystarczy wskazać, że na dekoracje wnętrza reprezentacyjnego Domu Ludowego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego nie rozpisano nawet konkursu, lecz powierzono je miejscowemu pseudo-artyście i to za wynagrodzeniem za projekt tylko, jak na nasze stosunki wysokim, bo wynoszącym zł. 3.000. Osoby odpowiedzialne za dekoracyjną stronę budującego się Domu wyszły w tym wypadku z założenia: w rodzinnym mieście rodzinne kicze. Nie dziwmy się jednak. Bo dla znacznej większości zdaje się uchodzić za pewne, że kultura, sztuka, to wszystko jest tylko wymysłone, że niczego tam nie ma, a jest jedynie szczelnie zamknięty pokój, ćwierkający świerszcz i wreszcie wspomnienia z przedwojennych czasów. Exemplum. Oto Rada Miejska, w jałowej dyskusji nad herbem Białegostoku, wyraźnie stwierdza, że „uczuciowy stosunek ludności przemawia za utrzymaniem obecnie używanego herbu z orłem i pogonią". W tym wszystkim nie pozbawiony pikanterii jest właśnie fakt, że herb ten narzucony został przez rosyjskiego zaborcę.

Obrazki te, zalatujące zapachami kuchni parafiańsko-folwarcznej, nie wymagają komentarzy. Toteż w takiej atmosferze nie można i trudno mówić również o teatrze, zaspakajającym głód wyobraźni, organizującym czucia i uczucia człowieka. To, co nazywa się tutaj teatrem, było dotychczas dalekie od istoty teatru. Wystawiane sztuki, z małymi wyjątkami — fatalne, a poziom ich wykonania znacznie niższy od niejednej amatorskiej sceny. Dyrektor teatru w ubiegłym sezonie, p. Grodnicki nie przyczynił się zupełnie do rozkrzewienia kultury teatralnej. Trzeba stanowczo nauczyć się gwizdać, a teatr będzie się liczył z nami. To właśnie musi wziąć pod uwagę nowy dyrektor teatru p. Czerengy, musi wreszcie zrozumieć, że oprawę dekoracyjną należy oddać w fachowe ręce artysty malarza, że odpowiednia osoba na stanowisku kierownika literackiego teatru, to olbrzymi krok w kierunku podniesienia jego poziomu.

Przedstawiając w ciemnych barwach rzeczywistość kulturalną Białegostoku, muszę z ręką na sercu i smutkiem stwierdzić, że nie uważam tego co napisałem za złośliwy cynizm, ale za konieczną uczciwość. Poruszenie zbyt spokojnej powierzchni stojącej wody jest jakby koniecznym środkiem profilaktycznym, potrzebą prowincjonalnych stosunków. Stosunki te można by ująć w taki oto pogląd, charakteryzujący mentalność człowieka prowincji: „Cały świat czymś się biedzi, gdzieś się rwie, a ja tu siedzę na uboczu: myślę można tak, można inaczej". Usłanie zacisznego gniazdka wbrew wszystkiemu i mimo wszystko — to dominujący fakt życiowy. Dlatego, bez przesady, żyjesz jakbyś przeglądał książkę kucharską. Dni różnią się tylko tym, że wczoraj był rosół i kotlety, a dziś barszcz i kotlety.

Klerk

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Anglia — Niemcy — Daleki Wschód

(z. d.) W pierwszych dniach listopada toczyła się w Anglii dość bezpłodna debata parlamentarna na temat polityki zagranicznej. Przy całym swym ubóstwie nowych i pozytywnych idei, debata ta przyniosła jednak jedną rzecz nową i ważną. W expose swym Chamberlain zajął stanowisko w stosunku do pozycji Niemiec w basenie Dunaju.

Zdaniem szefa rządu Wielkiej Brytanii Niemcy, dzięki swemu położeniu geograficznemu, mają naturalne prawo do zajęcia w tym obszarze dominującego stanowiska gospodarczego. Kraje naddunajskie posiadają w przeważającej mierze produkcję rolną i eksploatacyjną, Niemcy są w pierwszym rzędzie krajem przetwórczym, a więc naturalnym klijentem i dostawcą państw naddunajskich. Jeśli w drodze wymiany handlowej między Niemcami i państwami naddunajskimi Niemcy się wzbogacą, to Wielka Brytania będzie z tego powodu tylko rada; „nie pragniemy — powiada Chamberlain — wzbraniać Niemcom dostępu do tych krajów, ani też otaczać Niemiec gospodarczo".

Tym ostatnim słowom premiera towarzyszyły żywe oklaski części Izby Gmin. Nic w tym dziwnego, gdyż idea pozostawienia Europy Wschodniej jako terenu ekspansji gospodarczej Niemiec jest w Anglii popularna i datuje się oddawna, bo od konferencji w Wersalu. Jeżeli w ostatnich czasach idea ta straciła w Anglii nieco zwolenników, to tylko dlatego, że ze względów ideologicznych wielu dawnych germanofilów stało się zażartymi przeciwnikami Niemiec. Niemniej myśl nietamowania ekspansji niemieckiej w kierunku południowo - wschodnim nigdy nie przestała być u brytyjczyków aktualna. Na ten temat pisaliśmy już w „Narodzie i Państwie" dwukrotnie, 13 czerwca i 5 września 1937 r., lecz od tego czasu do wiosny i jesieni roku bieżącego ogólna sytuacja polityczna w Europie i układ terytorialny uległy gruntownym przeobrażeniom. Rok temu Wielka Brytania, sprzymierzona z Francją i mając w rezerwie Sowiety, mogła myśleć o wzbronieniu Niemcom gospodarczego i politycznego dostępu do basenu naddunajskiego. Gdy w przyszłości zostaną opublikowane akta brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych z ostatnich paru lat, wówczas będziemy widzieli z całą pewnością, czy Chamberlain myślał istotnie o czasowym odgradzaniu Niemiec od Dunaju, aby wzamian za otworzenie im drogi otrzymać od nich zgodnie z regułą kompensacji pewne ustępstwa. Wydaje się jednak, że takie właśnie były zamiary gabinetu brytyjskiego; w inspirowanej prasie brytyjskiej i w przemówieniach ministrów sprzed roku znajdziemy nie jedno zdanie, z którego można sądzić, że wzamian za rezygnację z terytorialnych rewidykacyj kolonialnych i ograniczenie zbrojeń, Anglia gotowa była zgodzić się na rewizję granic i danie Niemcom gospodarczej wolnej ręki w basenie Dunaju.

Idea kompensacji wzajemnych korzyści politycznych w zakresie spraw dunajskich, kolonialnych i zbrojeniowych w Niemczech była zawsze odrzucana z oburzeniem. Z punktu widzenia Niemiec dominujące stanowisko w basenie Dunaju jest ich prawem naturalnym, a zwrot kolonij, międzynarodowo prawnym i moralnym obowiązkiem zwycięzców z roku 1918. „W tym zakresie nie może być żadnych targów", wołali z oburzeniem Niemcy, a rozwój wydarzeń przyznał im nie tyle rację, ile to, czego się domagali w basenie naddunajskim. Wychodząc z założenia, że z punktu widzenia interesów Anglii słuszną polityką mogło być tylko utrzymanie zagadnienia naddunajskiego na gruncie kompensacji wzajemnych korzyści, uznamy ostatnie oświadczenie Chamberlaina o pozycji Niemiec w basenie Dunaju za wyraz rezygnacji człowieka pokonanego. W zakresie spraw naddunajskich Chamberlain jest w każdym razie politykiem, który nie potrafił wykorzystać istniejących możliwości.

*

Debata angielska dała asumpt kanclerzowi Hitlerowi do polemiki. W dwóch przemówieniach, jednym wygłoszonym w Weimarze, drugim w Monachium, Hitler starł się z mówcami opozycji angielskiej, którzy w debacie nie kryli swej wrogości w stosunku do Niemiec narodowo - socjalistycznych. Natomiast ku ogólnemu zdziwieniu kół międzynarodowych kanclerz nie uczynił żadnej aluzji do przyjaznych enuncjacyj szefa rządu brytyjskiego. Co więcej nawet, Hitler przypomniał, że w systemie parlamentarnym, takim jaki istnieje w Anglii, żaden rząd nie może być uważany za trwały, a intencje jego za podstawę dla decyzyj politycznych innego państwa. Ponieważ zaś w razie upadku Chamberlaina przyszliby do rządu ludzie, którzy dziś, jako opozycja, wygłaszają mowy w stosunku do Niemiec agresywne, więc Hitler ostatecznie wnioskuje, że Niemcy czują się potencjalnie zagrożone przez laburzystów i liberałów angielskich i muszą się zbroić.

Po deklaracji, ogłoszonej wspólnie z Chamberlainem w Monachium, takie niezbyt dla brytyjskiego premiera przyjemne wnioskowanie musiało niewątpliwie wyniknąć z głębokich przyczyn politycznych. Można się zgodzić z kanclerzem Hitlerem, że los gabinetu Chamberlaina nie jest zbyt pewny, lecz zwykła logika dyplomatyczna nie prowadzi w danym wypadku do wniosku, żeby trzeba było koniecznie jego sytuację utrudniać z zewnątrz nieprzyjaznymi dla Anglii mowami. Na zachodzie tłomaczy się, że Hitler, wyolbrzymiając antyniemieckie i antytotalne akcenty ostatniej brytyjskiej debaty parlamentarnej, chciał uzasadnić przed narodem niemieckim i światem przewidywane nowe wydatki na zbrojenia. Obok tego tłomaczenia trzeba jednak postawić jeszcze i inne, mianowicie wzgląd Hitlera na oś Berlin — Rzym. Jedną z głównych przyczyn jej powstania było to, że Niemcy i Włochy obawiały się krucjaty ideologicznej ze strony zachodnich demokracyj sprzymierzonych z Sowietami. Trwałość osi, tym samym zaś i poparcie Rzymu dla Berlina, będą tym dłuższe i pewniejsze, im większe będzie prawdopodobieństwo, że oba mocarstwa totalne zostaną zaatakowane przez inny blok ideologiczny. W chwili obecnej Niemcom zależy na osi więcej niż Włochom, Berlin więcej potrzebuje poparcia Rzymu, niż Rzym pomocy Berlina. Na tapecie niemieckiej polityki zagranicznej znajduje się niezmiernie trudne zadanie odzyskania dawnych kolonij, w czym potrzebne jest Niemcom poparcie Włoch przeciw Anglii, a tymczasem Włochy doszły do porozumienia z Anglią. W takich warunkach jest łatwo zrozumiałe, że Hitlerowi zależy na tym, aby stwarzać nastrój, w którym Włochy mogłyby zacząć powątpiewać w realną wartość układu z Anglią jako elementu ich bezpieczeństwa. Z drugiej znów strony, ponieważ układ z Anglią, brany pozytywnie usuwa jedną z politycznych przyczyn, dla których Włochy zbudowały oś, więc Niemcy, potrzebując w tej chwili tej osi, starają się za wszelką cenę zaktualizować i zwaloryzować ideologiczne jej podstawy. Stąd właśnie wyolbrzymianie przez Hitlera wrogich dla państw osiowych ideologicznych nastrojów angielskiej opozycji.

Niekorzystna dla rozwoju dobrych stosunków politycznych między Anglią i Niemcami atmosfera, jaką wytworzyły ostatnie przemówienia Hitlera, została jeszcze pogorszona przez pogromy Żydów i nałożoną na nich kontrybucję. Z okazji manifestacji protestacyjnych, które odbyły się w Anglii, odezwały się głosy wielkiego w stosunku do Niemiec nacjonalsocjalistycznych sceptycyzmu nawet ze strony ludzi tych, którzy zawsze starali się odnosić do wydarzeń w Rzeszy z przyjaznym zrozumieniem. W opinii najbardziej nawet bezstronnych korespondentów pism w Anglii, fala prześladowań Żydów, która zalała Niemcy, zadała pośrednio poważny cios polityce Chamberlaina. Zarówno w opinii publicznej, jak i w łonie samego gabinetu, podniosły się znowu poważne wątpliwości co do możliwości normalnych stosunków między demokracją angielską i tyranią niemiecką. Widać z tego, że dla tych i innych powodów, czynnik ideologiczny nadal zajmuje poważne miejsce wśród przyczyn politycznego rozbicia Europy.

*

Wśród powodzi doniosłych wydarzeń międzynarodowo politycznych, możemy również zanotować wydarzenia Dalekiego Wschodu. Nie chodzi tu nam o zwycięstwa armii japońskiej, uwieńczone zajęciem Hankou i Kantonu, lecz raczej o polityczne następstwa tych faktów. Oto, widząc iż żadna jej zbrojna akcja w Chinach nie wywołuje odpowiedniej reakcji ze strony Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, Japonia odkryła karty swej gry. Dowiadujemy się z enuncjacyj oficjalnych i półoficjalnych, że Japonia dokona jednostronnej rewizji traktatów dotyczących Dalekiego Wschodu, nie cofając się nawet przed faktycznym lub wręcz formalnym zamknięciem przed Europejczykami i Amerykanami „drzwi otwartych" w Chinach.

Jednym słowem Japonia daje wyraźnie do zrozumienia, że ma zamiar wyeliminować całkowicie z Chin polityczny i gospodarczy wpływ białych narodów. Jeśli chodzi o wartość materialną zagrożonych interesów mocarstw zachodnich i Stanów Zjednoczonych, to nie należy jej wyolbrzymiać. Mimo, że Chiny posiadają ponad 400 milionów ludności, nie są specjalnie obszernym rynkiem zbytu, a to dla niskiej siły nabywczej ludności. Nawet dołączając do Chin Mandżuko, jako że oba te kraje stanowią dla państw zamorskich zbliżone i związane rynki zbytu, otrzymujemy, że pochłaniają one tylko 2,4% eksportu Stanów Zjednoczonych, 1,8% Wielkiej Brytanii i 0,6% Francji. Podobnie jest z inwestycjami w Chinach, które nie przekraczają kilku procent ogólnej sumy lokat zagranicznych poszczególnych tych państw. Należy, oczywiście, brać tak samo pod uwagę możliwości korzystniejszego rozwoju handlu i inwestycyj, jakie istniały dla państw europejskich i amerykańskich w związku z gospodarczym odrodzeniem Chin, towarzyszącym politycznemu. Mimo to jednak, jakie są i potencjalnie istniały interesy gospodarcze Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych w Chinach, nie wystarczyłyby one same dla uzasadnienia ryzyka i kosztów ewentualnych kroków wojennych przeciwko Japonii. Jeżeli mocarstwa morskie podejmą w przyszłości jakąś zbrojną akcję przeciwko Japonii, to będą się kierować stokroć więcej niż względami gospodarczymi obawą o los swych posiadłości azjatyckich, które są coraz to bardziej zagrożone ekspansją militarną Japonii.

Niezależnie od tego nie należy nie doceniać znaczenia groźby, rzuconej przez Japonię, jako zjawiska polityczno-gospodarczego, którego echo może rozejść się daleko poza obszar dalekowschodni. W zupełnie innych warunkach i formie, przemiany polityczne zagrażają interesom gospodarczym mocarstw europejskich i w innych częściach ziemi, szczególnie w Ameryce Południowej, gdzie mają powstać tendencje do unarodowienia wielkich przedsiębiorstw cudzoziemskich, anulowania kredytów i t. d. Przykład japoński może przesądzić nie jedną decyzję, dziś pozostającą w zawieszeniu. Wszystko to są zjawiska gospodarcze, wynikające z jednej przyczyny — upadku autorytetu zobowiązań międzynarodowych, upadku siły moralnej prawa międzynarodowego. W jakim stopniu w ogólnej sumie tego rodzaju straty, ponoszone przez kraje o szerokiej ekspansji finansowej i gospodarczej, przyczyniają się do ich zubożenia, może świadczyć przykład Francji: w roku 1913 wpływy zagraniczne z lokat kapitałów francuskich wynosiły 2.600, a w roku 1937 tylko 837 milionów franków złotych. To właśnie aktywum pozwalało Francji przed wojną utrzymywać bez szkody dla finansów ujemny bilans handlowy. Dziś natomiast brak równie wysokich wpływów z lokat zagranicznych przy zwiększonym jeszcze deficycie handlu zagranicznego jest główną przyczyną ujemnego salda bilansu płatniczego i kryzysu finansowego.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Na marginesie wyników zbiorów

(aa). Ogłoszone już zostały dane Głównego Urzędu Statystycznego o zbiorach zbóż w roku bieżącym. Pszenicy zebraliśmy 22,9 miln. q, żyta 69,2 miln., jęczmienia 14,4, a owsa 25,9 miljn. q. Najwyższy dotychczas zbiór pszenicy wynosił w r. 1931 22,7 miljn. q, a więc tegoroczny wynik jest rekordowy, natomiast jeśli idzie o żyto, to w ciągu ostatniego dziesięciolecia trzykrotnie: w r. 1929 (70,1 miln. q), w r. 1930 (69,6) i w r. 1933 (70,8) zbieraliśmy więcej. Produkcja owsa i jęczmienia ledwo przekracza przeciętne zbiory pięciu lat poprzednich. Jak widać więc w pierwotnych alarmach o nadzwyczajnym urodzaju było wiele przesady, szkodliwej przede wszystkim dla interesów rolników. Wpłynęła ona bowiem bardziej deprymująco na ceny zbóż, niżby to uzasadniały znane dziś wyniki żniw.

Ciekawe jest porównanie tegorocznych zbiorów z cyframi przeciętnymi poprzednich okresów. Jeśli przeciętną roczną produkcję poszczególnych zbóż w latach 1928—32 przyjąć za 100, wówczas ewolucja plonów przedstawia się następująco:

	pszenica	żyto	jęczmień	owies
1933—37 (przeciętna)	111,5	100,8	94,6	102,5
1938	123,7	108,5	95,6	103,6

Czemu zawdzięczamy ten pomyślny zwłaszcza w zakresie dwu zbóż chlebowych wynik? Odpowiedź dość łatwo znaleźć, porównując w ten sam sposób powierzchnię zasiewów zbóż:

	pszenica	żyto	jęczmień	owies
1933—37	109,1	101,1	97,6	103,4
1938	111,1	102,6	96,1	105,2

W pięcioleciu 1933-37 wykazują wskaźniki powyższe bardzo daleko idącą zbieżność z wskaźnikami zbiorów. Zbieżność ta mówi o tym, że wzrost produkcji zbóż zawdzięczamy rozszerzaniu powierzchni zasiewów a nie postępowi technicznemu uprawy. Dane za rok 1938 wyłamują się z tej formułki tylko pozornie. Wydajność z ha była w b r. wyższa od przeciętnej. Wynosiła ona dla pszenicy 13,0 q (1933-37 — 12,0 q), żyta 11,7 q (11,2), jęczmienia 12,2 q (11,9). Jedynie owies miał wydajność niższą — 11,4 q w porównaniu z 11,5 q w latach poprzednich. Jeśli jednak porównanie przeprowadzimy nie ze średnią wydajnością okresów, lecz z danymi za poszczególne lata, to okaże się, że tak niepomyślny dla zastosowywania wszelkich technicznych nakładów w rolnictwie rok 1933 miał lepsze plony z ha. Przedstawiały się one jak następuje:

pszenica	12,8 q
żyto	12,2 q
jęczmień	12,3 q
owies	12,2 q

Toteż dobry wynik tegorocznych zbiorów zawdzięczamy niestety nie tyle postępującej intensyfikacji rolnictwa, co przede wszystkim pomyślnemu układowi czynników od rolnika niezależnych. „Przede wszystkim" nie znaczy oczywiście „wyłącznie". Podkreślić trzeba choćby coraz wartościowszy, bo coraz częściej wiedzą fachową poparty układ pracy chłopskiej. Jednakże dopóki nie znajdą w naszym rolnictwie zastosowania na większą skalę nawozy sztuczne, dopóki narzędzia uprawy będą tak prymitywne jak dziś, nie zwiększymy swych zbiorów. A przecież podniesienie wydajności z ha o 3 q, a więc do normy niezbyt wysokiej, dałoby nam dodatkowo 5 milj. q pszenicy i 18 miljn. q żyta.

Lepiej jednak nie snuć takich rozważań. Gdyby się ziściły, dopiero byłby kłopot z regulacją cen, choć nawet wówczas nie moglibyśmy osiągnąć jeszcze globalnych cyfr spożycia obu tych zbóż na głowę mieszkańca w szeregu krajów europejskich.

Maszyny rolnicze

(aa). Jeśli już mowa o rolnictwie, warto wspomnieć o niezwykle cennej pracy Konstantego Czerniewskiego p. t. „Maszyny i narzędzia rolnicze w gospodarstwach mniejszej własności" wydanej przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w b. r. Zawiera ona pierwszy w Polsce szacunek użycia maszyn i narzędzi w tego typu gospodarstwach, oparty na zbadaniu 53 wsi we wszystkich województwach. Wsie te obejmowały przeszło 4.700 gospodarstw i z górą 26 tys. ludności. Dobór najbardziej typowych dla danych okolic wiosek pozwala przypuszczać, że liczby szacunkowe na tych badaniach oparte nie powinny odbiegać od rzeczywistości.

Otóż wg ogólnego zestawienia gospodarstwa mniejszej własności, których wg spisu z 1931 r. było ok. 3,2 miljn. posiadały w zaokrągleniu 2,7 milionów wozów, 2,6 miljn. pługów, 2,9 bron zwykłych, 700 tys. sprężynówek, 2,2 miljn. sieczkarni, 800 tys. wialni i młynków, kieratów nieco więcej niż 500 tys., młocarń niespełna 400 tys. Liczby siewników i żniwiarek są znacznie mniej pewne, gdyż rozpowszechnienie ich jest bardzo niewielkie. Instytut Gospodarstwa Społecznego szacuje ilość obu maszyn na 75 tys. Dopełnieniem prac Instytutu jest przeprowadzony w lutym 1938 r. przez Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych spis siewników użytkowanych przez gospodarstwa mniejszej własności. Dał on wyniki następujące:

	Liczba ogólna siewników	przec. liczba sztuk na 1000 ha ziemi ornej	przec. liczba sztuk na 1000 gospodarstw
Cała Polska	67 686	4,27	16,66
Wojew. środkowe	16 726	2,51	11,03
„ wschodnie	1 659	0,41	1,77
„ zachodnie	44 181	28,08	148,70
„ południow.	5 120	1,42	3,90

Jak widać z tych zestawień maszynostan naszego drobnego rolnictwa jest nadzwyczaj szczupły, a rozpiętość między poszczególnymi dzielnicami bardzo wysoka. Nie jest to jednakże jedyna bolączka — pod wpływem lat kryzysu proces odnawiania maszyn i narzędzi uległ b. wydatnemu zahamowaniu i do dziś dnia nie osiągnął nawet 50% natężenia z r. 1929, który zresztą nie był już tak pomyślny w tym względzie jak r. 1928. Produkcja krajowa maszyn rolniczych po potrąceniu eksportu wynosiła w r. 1937 ok. 20 tys. ton, import 2.100 ton. Te same pozycje w r. 1929 zamykały się cyframi 39 tys. i 10.000 ton. Oczywiście porównania wagowe nie są całkowicie współmierne, jednakże tendencję charakteryzują wystarczająco.

Zdaje się, że przytoczone dane dają dość wyrazisty obraz sprawy maszyn w gospodarstwach mniejszych. Większa własność jest lepiej zaopatrzona w maszyny i narzędzia, jednakże jej stan posiadania w tym zakresie ulega bez wątpienia skurczeniu równolegle z procesami parcelacyjnymi, toteż konieczna jest akcja wśród drobnego rolnictwa, która by przynajmniej niwelowała ten ubytek. Bieżący rok przyniósł pod tym względem dobry początek. Ministerstwo Rolnictwa rozprowadziło 4 tysiące siewników.

O NAS U OBCYCH

Dwugłos francusko-niemiecki o polskiej polityce zagranicznej

Ostatnie wypadki na forum międzynarodowym, wprowadzające do dotychczasowego układu sił politycznych w Europie zasadnicze zmiany, skierowały uwagę opinii zagranicznej na rolę, jaką w nowym po-monachijskim okresie może odegrać Polska. Poirytowana niepowodzeniami na odcinku czeskim opinia francuska odniosła się do tej sprawy z dużą i nieukrywaną niechęcią. Głosy trzeźwe i obiektywne są stosunkowo bardzo rzadkie.

Jednym ze znamienniejszych wystąpień z tego zakresu jest artykuł b. premiera i kilkakrotnego ministra spraw zagranicznych — Paul Boncour'a — na łamach **Paris-Soir.** Wywody te, utrzymane w tonie dla Polski przychylnym, noszą tytuł: „Quo Vadis?" Oto najcelniejsze wyjątki z artykułu:

„Quo Vadis" — jest to tytuł dzieła, które dobrze jest znane w Polsce. Ale jest to również pytanie, jakie zadają sobie ci, którzy nie tylko kochają Polskę, ale także ci, którzy zdają sobie sprawę z tego, że Polska odgrywa decydującą rolę w tej powojennej Europie, której tak ciężki, niemal śmiertelny cios zadały Niemcy. Stwierdzenie doniosłości roli Rzeczypospolitej będzie powitane z pewnością przychylniej w Polsce, aniżeli słowa sentymentalne...

Czy Polska wierzy, że ta polityka, której pozostaje wierna od czterech lat, będzie w dalszym ciągu mogła zapewnić Rzeczypospolitej pokój i neutralność Niemiec? Odpowiedź na to pytanie należy tylko do Polski. Ona jedna ma prawo w tych sprawach wydawać sąd. Byłoby niewłaściwością wysuwać tu wątpliwości, chociażby pochodziły one nawet od najbardziej wiernych i wypróbowanych przyjaciół.

Ale tym przyjaciołom wolno jest zawsze w sposób najbardziej rzeczowy poddać analizie pewne objawy dynamizmu hitlerowskiego, który zaznacza się coraz silniej od sukcesu w Czechosłowacji — sukcesu, równoznacznego z kapitulacją bez wojny.

Zwrócę uwagę na jeden fakt:

Jest to naprawdę bardzo ciekawe zjawisko, iż nazajutrz po Monachium wybuchły manifestacje i zaburzenia na tych terytoriach polskich, które zamieszkuje mniejszość ukraińska. Łączy się to w sposób przejrzysty z dążnością do zachowania Ukrainy Podkarpackiej, jak również z tym ruchem ukraińskim, który objawia żywotność — może wcale nie spontaniczną...

Jakże wszystko staje się jasne — przejrzyste! Wszystkie te posunięcia nie są kwestiami, które powstały nagle, momentalnie. Bezpośrednio przed wojną wydał ks. Bülow dzieło, w którym wyłuszczał cele polityki niemieckiej. Należy do nich Wschód! Tam tylko są wielkie tereny, nadające się do kolonizacji, tam znajdują się prawdziwe „dominia" niemieckie. Czymże jest polityka hitlerowska? Jest ona dalszym ciągiem tradycyjnej polityki niemieckiej. Z tą różnicą, iż jest bardziej brutalna i doprowadzona do szczytowego punktu bezwzględności.

Poza dymną zasłoną haseł antykomunistycznych pangermanizm idzie krokiem przyspieszonym na podbój Europy Środkowej i Wschodniej.

Poza tą ideologią — wisi przejrzysta karta geograficzna.

Ukraina, jej bogactwa rolnicze, przemysłowe, kopalnie, jej sąsiedztwo z Zagłębiem Donieckim, jej dostęp do Morza Czarnego i do Azji — to wszystko staje się jakąś nową Ziemią Obiecaną dla pustych żołądków. To wszystko budzi olbrzymie nadzieje w narodzie, któremu nie można zarzucić ani braku karności, ani braku zamiłowania do pracy, ani upadku cnót żołnierskich.

Jednakowoż ci politycy, którzy, nie odczuwając żadnych sympatyj dla rosyjskiego komunizmu, nie chcieli stawać się narzędziem w ręku imperializmu germańskiego — wysuwali twierdzenie, że hegemonia niemiecka jest niemożliwością, gdyż między Rosją a Niemcami leży Polska. A o tej Polsce wiemy, że zbyt pilnie strzeże swojej niezależności politycznej i nienaruszalności swoiego terytorium — aby pozwoliła na jakiegokolwiek rodzaju panowanie, które by sięgało przez obszary Rzeczypospolitej.

I przyznaję się, że dotychczas nie widziałem tej drogi, jaką Niemcy mogłyby się posuwać w celu urzeczywistnienia swoich marzeń wschodnich.

Upadek Czechosłowacji nagle tę

drogę otworzył. I natychmiast, bez straty jednego dnia, bez przerwy na strawienie zdobyczy — propaganda hitlerowska (którą można by było podziwiać, gdyby nie była tak strasznie groźną dla wolności świata) w tej chwili znajduje metody i środki, aby przygotować realizację jutrzejszych planów.

I tutaj powracamy do pytania, które rzuciliśmy na początku: „Quo Vadis?" Bez względu na takie czy inne kombinacje, czasami chwilowe i dyktowane może koniecznością dnia — Polska, ze względu na własne bezpieczeństwo, będzie musiała podjąć na nowo swoją dawną rolę zapory na drodze pochodu germańskiego. Sytuacja, w której postawiły nas układy monachijskie, jest niezwykle drażliwa i wymaga jak najdalej posuniętej ostrożności. Dlatego też trzeba z największą uwagą śledzić dalszy rozwój stosunków polsko-niemieckich. Może będzie można pozyskać wówczas Polskę dla tej zasady wspólnego bezpieczeństwa, która, jak to jest już całkiem jasne, nie może dojść do skutku w Europie środkowej i wschodniej bez współdziałania Polski".

*

Ostatnią fazą działalności polskiej polityki zagranicznej, związanej z wypadkami, jakie przyniósł ze sobą okres po-monachijski, zajął się szerzej również dwutygodnik niemiecki **Wille und Macht**. Wychodząc z założenia, że współdziałanie Polski przy przekształcaniu karty politycznej Europy środkowej przyniosło Polsce realne korzyści, pismo stwierdza, że fakt ten postawił przed Polską nowe problemy i nowe zagadnienia, czekające na rozwiązanie. Do spraw tych należy — zdaniem pisma — m. in. zagadnienie wspólnej granicy polsko-węgierskiej, możliwej do zrealizowania po odpowiednim załatwieniu sprawy Rusi Podkarpackiej, a eliminującej z tej części Europy wszelkie wpływy państw innych, niż Polska i Węgry.

Z kolei pismo analizuje w dłuższym wywodzie stosunek Polski do dawniejszej Czechosłowacji, stwierdzając przede wszystkim, że stosunki te były złe ze względu na niewłaściwe ustosunkowanie się Czechosłowacji do spraw i interesów polskich już od momentu zakończenia wojny światowej. Ten stan rzeczy uległ dalszemu pogorszeniu przez zastosowanie przez Pragę ostrego kursu wynaradawiającego wobec ludności polskiej, żyjącej na Śląsku Zaolzańskim, doprowadzając w rezultacie do wytworzenia się w opinii polskiej jadnolitego, antyczeskiego frontu, co znalazło swój wyraz w poparciu akcji politycznej min. Becka przez całe społeczeństwo, bez względu na przynależność partyjną.

Stosunek Polski do Francji uległ poważnemu pogorszeniu z chwilą, gdy w sprawie Śląska Zaolzańskiego Francja zajęła stanowisko przeciwne stanowisku Polski i zlekceważyła jej interesy państwowe, wyrażające się m. in. w sprawie zwrotu Śląska Zaolzańskiego, zabranego przez Czechosłowację w chwili słabości politycznej Polski, zajętej rozgrywką wojenną ze Sowietami. Pozytywne załatwienie tej sprawy doszło do skutku dzięki wysiłkom polityki polskiej i życzliwemu stanowisku Niemiec oraz Włoch.

Z chwilą zaspokojenia polskich potrzeb terytorialnych — ciągnie dalej pismo — przed polską polityką zagraniczną stanął problem wspólnej granicy z Węgrami, jako rzecz, która może ustabilizować pozycję polityczną Polski w Europie środkowej. Pismo podkreśla tutaj, że akcja w tym zakresie była bardziej energicznie prowadzona przez Polskę, niż przez Węgry same. Interesy Polski wymagają istnienia wspólnej granicy z Węgrami dla ostatecznego oddzielenia Czechów od Sowietów, a wszelkie półśrodki, jak np. autonomia Rusi Podkarpackiej w czeskim ustroju państwowym, nie byłyby w żadnym wypadku zgodne z tymi interesami. Pismo wskazuje jednak, że najidealniejszy moment do zrealizowania koncepcji wspólnej granicy polsko-węgierskiej istniał w czasie oddawania przez Czechosłowację Sudetów i że w chwili obecnej nadzieje na zrealizowanie tej koncepcji zmalały poważnie.

„Wille und Macht" kończy uwagą, że w okresie, kiedy zasada samostanowienia narodów przeszła próbę życiową i w praktyce dnia codziennego nie zawiodła, trudno mówić o realizowaniu planów, które by stały w sprzeczności z tą zasadą. Stwierdzenie to oznacza, że pismo — w ślad za oficjalną postawą polityki niemieckiej w sprawie wspólnej granicy polsko-węgierskiej—odnosi się doń negatywnie.

Jeśli chodzi o stosunek Niemiec do nowych zdobyczy terytorialnych Polski, to — zdaniem pisma — zdobycze te nie wpłyną w żaden sposób na niemieckie życie gospodarcze. Nie pierwszy raz — powiada pismo — w rejonie śląskim zostaje przeprowadzany podział. Przed wojną Śląsk był podzielony między Niemcy, Rosję i Austrię, w ostatnich zaś 20 latach — między Niemcy, Polskę i Czechosłowację. W chwili obecnej zaś rejon Śląska dzielić się będzie na dwie zasadnicze części: niemiecką i polską. W okresie przedostatnim istniał tego rodzaju stan rzeczy, że w zakresie zbytu węgla Polska toczyła z Czechosłowacją zacięte boje o rynki i prowadziła walkę konkurencyjną nawet na terenie państw pozaeuropejskich. Jeśli chodzi o Niemcy, to produkcja węgla pokrywa tam całkowicie zapotrzebowanie, tak, że produkcja polska nie może w ogóle liczyć na Niemcy jako na rynek zbytu dla swego węgla. Nowe dla Polski rynki stanowić mogą: Czechosłowacja, Węgry i Rumunia.

Korzyści Niemiec z uzyskanych obszarów sudeckich są olbrzymie. Dochodzi nawet do tego, że przez przyłączenie terenów, na których znalazła się główna czeska linia elektryczna wysokiego napięcia, Praga została prawie całkowicie uzależniona od Niemiec w dziedzinie dostawy prądu elektrycznego. Tego rodzaju stan rzeczy winien — zdaniem pisma — doprowadzić m. in. do zacieśnienia węzłów współpracy gospodarczej między Niemcami i Czechosłowacją.

Sytuacja w rejonie Śląskim w oświetleniu niemieckim

Bytomska **Ostdeutsche Morgenpost** (nr. 315) poświęciła przeprowadzonym w ostatnim czasie w rejonie śląskim zmianom terytorialnym dużo uwagi, prezentując przy poruszeniu tego tematu bardzo swoisty sposób podejścia oraz oceny dokonanych zmian. Zmiany te dokonały się — zdaniem pisma — przeważnie na rzecz Polski, która przez przyłączenie rejonu karwińsko-ostrawskiego uzyskała jedyne w Europie środkowej rejony z węglem koksującym, wszelkie zakłady chemiczne i olbrzymie trzynieckie huty żelaza, uzależniając całkowicie od siebie Czechosłowację w dziedzinie produkcji węgla koksującego. Polskie życie gospodarcze zostało poważnie wzmocnione nowymi nabytkami, przy czym duże znaczenie posiada przyłączenie do Polski bogumińskiego węzła kolejowego, przecinanego przez cały szereg wielkich szlaków transportowych. (Pismo przypomina przy okazji wysuniętą już przed pewnym czasem przez siebie koncepcję bezpośredniego połączenia niemieckiej stacji granicznej Annaberg ze stacją Schönbrun w Czechach przez wybudowanie specjalnej linii kolejowej długości 10 km. W ten sposób zostałoby wyeliminowane zupełnie pośrednictwo polskiego Bogumina na szlaku transportowym, idącym z niemieckiej części Śląska ku południowi).

PRZEGLĄD PRASY

Traktat przyjaźni

Parafowany w dniu 17 listopada w Waszyngtonie anglo-amerykański traktat handlowy określa **Ilustrowany Kuryer Codzienny** (nr. 321) jako traktat przyjaźni w prawdziwym tego słowa znaczeniu, jako traktat, który ma stanowić punkt wyjścia dla ściślejszej współpracy politycznej między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi. Sprawa powyższa ma — jak to słusznie podkreśla pismo — sens głębszy:

„Sytuacja jest dziś tego rodzaju, że Anglia w coraz wyższej mierze kieruje swój wzrok na Stany Zjednoczone. Dążeniem Anglii jest coraz silniejsze związanie się gospodarcze i polityczne ze Stanami Zjednoczonymi. Tak jak Francja w coraz wyższej mierze ogląda się na Anglię, tak ze swej strony Anglia coraz więcej ogląda się na Stany Zjednoczone.

Nic bez Anglii — oto hasło, obowiązujące dziś we Francji. Nic bez Stanów Zjednoczonych — oto hasło, coraz silniej rozlegające się w Anglii.

Anglia rozumie, że dopiero łącznie ze Stanami Zjednoczonymi trzy te wielkie demokracje uzyskują przewagę tak wielką, że może ona zapewnić im nie tylko poszanowanie ich praw, ale rozstrzygnięcie wielu problemów bez uciekania się do wojny, siłą gatunkowego ciężaru wielkiej trójki.

I w załatwieniu wielu spraw Anglia coraz chętniej widzi inicjatywę Stanów Zjednoczonych, oczekuje tej inicjatywy lub wywołuje ją — oddając w tym względzie prymat Stanom Zjednoczonym".

Dawna rywalizacja anglo-amerykańska, rywalizacja pomiędzy starą metropolią a nie tak dawną jeszcze kolonią, ustąpiła na plan dalszy:

„Rywalizacja finansowa o hegemonię finansową nad światem straciła dużo na znaczeniu od czasu, gdy jedno i drugie państwo zawiesiło wzgl. ograniczyło do minimum działalność kredytową zagranicą, a świat się gospodarczo zamknął.

Rywalizacja flotowa skończyła się porozumieniem flotowym (w Waszyngtonie i Londynie), przyznającym obydwu mocarstwom ścisły „parytet flotowy".

Rywalizacja o sferę wpływów w Ameryce Południowej i w Chinach zeszła w cień, gdy na horyzoncie zjawił się wspólny wróg na Pacyfiku: groźny imperializm japoński.

Myśl o konieczności ściślejszej współpracy z imperium angielskim nurtuje silnie i w Stanach Zjednoczonych — zwłaszcza od czasu ofensywy japońskiej na Chiny. Stany Zjednoczone zakładają protesty przeciw ciągłemu naruszaniu ich praw w Chinach, ale zarazem widzą swoją faktyczną bezsilność wobec wypadków, którym muszą przyglądać się z całkowitą biernością.

W ostatnim czasie obserwują z coraz większym niepokojem rosnący ferment w państwach południowej Ameryki, zagrożonych propagandą narodowo-socjalistyczną.

Gdy powstała ostatnio kwestia zwrotu kolonii niemieckich w Afryce, obawy, że Ameryka Południowa mogłaby znaleźć się w zasięgu działania niemieckich baz morskich i lotniczych, były bardzo żywo komentowane i były przedmiotem oficjalnych narad anglo-amerykańskich.

W rezultacie padła enuncjacja prezydenta Roosevelta, że Stany Zjednoczone staną z bronią w ręku na straży całej Ameryki, tj. każdego państwa kontynentu amerykańskiego, gdyby miało być zaatakowane z zewnątrz".

W ten sposób wypadki pchają ku temu, by po obydwu stronach Oceanu umocniło się przeświadczenie o pożytku i konieczności ściślejszej współpracy anglo-amerykańskiej. Zawarty traktat stanowi niewątpliwie pierwszy, donioślejszy etap w tej dziedzinie.

W obliczu wyborów samorządowych

Okres najbliższych kilkunastu miesięcy będzie okresem przemian w życiu wewnętrznym kraju, a jego wyrazem zewnętrznym — obok ostatnich wyborów do parlamentu — wybory samorządowe i wybory Prezydenta. Najbliższe nam terminem są wybory samorządowe. Ogólną ich charakterystykę przynosi **Gazeta Pomorska** (nr. 127), podkreślając mocno udział w wyborach samorządowych opozycji:

„Wybory te będą nową próbą sił między tymi czynnikami, które chcą pozytywnie i w sposób zorganizowany pracować dla Polski, a stroną przeciwną, czyli partiami t. zw. opozycji, których programy stanowią jedyną w swoim rodzaju mozaikę wszystkich doktryn, mniej czy więcej współczesnych, które są zbiorem krańcowo sprzecznych metod działania, a które są zgodne tylko w jednym — w upartym bojkocie pracy polityczno-państwowej z tą chwilą, jeśli ona nie jest prowadzona właśnie w myśl ich prywatno-partyjnej recepty.

Opozycja nie poszła do wyborów sejmowych i poniosła sromotną klęskę, wykazując, jak dalece nieuzasadnione były buńczuczne powoływania się na „masy" rzekomych zwolenników. Masy były istotnie, ale przy urnach wyborczych, udowadniając, jak dalece powszechne jest zrozumienie potrzeby pozytywnej pracy dla Państwa.

Opozycja bierze udział w wyborach samorządowych i jakkolwiek trudno się dziś bawić w proroctwa co do ich wyników, jedno nie ulega dziś wątpliwości, że niezłomna wola całego narodu, jaka objawiła się w dniu wyborów do Sejmu, **potwierdziła się z tym** większą wyrazistością przy powoływaniu reprezentacji samorządowej".

W dalszych swych wywodach na temat wyborów samorządowych pismo zwraca uwagę na stronę społeczno-obywatelską tego aktu:

„Wybory samorządowe zakrojone są bardzo szeroko i obejmą zarówno wybory do rad gminnych i gromadzkich, jak i rad i wydziałów powiatowych oraz zarządów miejskich w miastach wydzielonych. Będzie to więc gruntowna wymiana ludzi na wszystkich szczeblach tej wielkiej machiny organizacyjnej, jaką jest w każdym państwie samorząd terytorialny".

Problem człowieka w Polsce

We wszystkich formach działania głównym elementem jest problem człowieka. Najprzeróżniejsze formy życia politycznego, społecznego i gospodarczego, choćby najpiękniej teoretycznie pomyślane, zależą w istocie rzeczy od ludzi, którzy będą je realizować. Również i w Polsce — jak przypomina **Polska Zachodnia** (nr. 319) — problem ten staje się coraz bardziej palący:

„Człowiek polski — oto zagadnienie, któremu winno poświęcić się dziś w Polsce specjalną uwagę. Jesteśmy dalecy od fałszywych lamentów, że obserwujemy rzekomo szczególny upadek moralny w Polsce. Niemniej jednak faktem jest, że zbyt często słyszymy w Polsce wołanie, że nie ma ludzi. Tak woła dziś niejeden społecznik, polityk czy też pracodawca. Jedni widzą tego przyczynę jedynie w nieumiejętności dobierania sobie ludzi. Stefan Kołaczkowski twierdzi, że zanikł organ widzenia dusz ludzkich. Zanika on zaś wtedy, gdy ludzi traktuje się stale jako funkcje lub narzędzia. Dar widzenia ludzi i poszanowania wartości osiąga się zaś jedynie przez własne życie duchowe. Jest to stwierdzenie chyba bardzo trafne. Wszak współczesny człowiek przeciętny nie zna w ogóle problematyki związanej z kulturą duszy. Jest organizatorem, działaczem, politykiem. Cała ta jego działalność jednak jest powiązana z ledwie dostrzegalnym strumykiem życia wewnętrznego. Tu też należy sobie tłumaczyć owo okrutne zakłamanie rozmaitych mężów dawnego autoramentu partyjnego. Są to prawdziwi żonglerzy wielkich słów przy równocześnie małodusznym postępowaniu, niezgodnym z gołosłownymi zasadami. To zakłamanie wewnętrzne staje się w niektórych szeregach partyjnych zjawiskiem powszechnym. Ludzie tacy stanowią rodzaj dewotów politycznych. Objaw ten nie wyczerpuje oczywiście wszelkich braków w tej dziedzinie".

Wniosek jest prosty:

„Trzeba przypomnieć w Polsce tę prostą prawdę, zagubioną w najróżniejszych inicjatywach i reformach, że wszelkie przeobrażenia i rewolucje zależą w ostatecznym rzędzie od ludzi. — Każda reforma ma być zawsze wzmocnieniem. Wykonawcą każdej reformy jest człowiek. Jakże więc człowiek słaby i mały ma realizować moc i wielkość! Musi przeto w Polsce problem człowieka być przedmiotem specjalnej troski i uwagi. Musi zostać rozwiązany w sensie najkorzystniejszym. Wielkość zadań, wobec których stoi nasze pokolenie, wymaga wielkich charakterów. Hasło to jednak nie może pozostać frazesem.

Realizacja jego należy na odcinku politycznym do Obozu Zjednoczenia Narodowego, na odcinku zaś wychowawczym do wszystkich organizacyj młodzieżowych".

Kryzys polityki Bluffu

W związku z decyzją Stronnictwa Demokratycznego i Falangi w sprawie niebrania udziału w wyborach samorządowych **Zaczyn** (nr. 38) stwierdza, że w ten sposób rozwiały się dwa z wielu bluffów, dwie z wielu fikcyj, jakie ciążą nad polskim życiem politycznym i zaciemniają jego prawdziwy horyzont:

„Jasne jest bowiem, że powyższe rezygnacje trzeba traktować jako wykręty dyktowane lękiem przed zdradzeniem prawdziwego zasięgu swych wpływów. Dlaczegóż bowiem wobec takiej zbieżności poglądów członkowie Klubu Demokratycznego w ogóle nie rozwiążą Klubu, wstępując do P. P. S. w mieście, a do S. L. na wsi? Dlaczegóż „Falanga" uważa za stosowne „rozbijać głosy polskie" na innych terenach, gdzie nie trzeba wykazywać się konkretnie ludźmi i wpływami? Gdzież są te olbrzymie armie, którymi nas straszył Klub Demokratyczny, gdzież są te osławione „doły legionowe", ta zbuntowana „lewica legionowa", ta inteligencja lewicowa, o której grzmi „Czarno na Białem"? A gdzież te masy, narodowo-radykalne", gdzież ta „ulica narodowo-radykalna", o której czytamy stale w „Falandze", gdzież te tysiące karnych i gotowych na wszystko bojowców? Wyobrażamy sobie jak bardzo żałują sztaby Klubu Demokratycznego i Falangi, że niema żadnego pretekstu, aby zbojkotować wybory samorządowe. Wtedy siedziałoby się z obrażoną miną w kawiarni i z dumą rejestrowałoby się jako „swoich ludzi" wszystkich niegłosujących ze starcami i kalekami włącznie".

Inna fikcja rozpadła się przed dwoma tygodniami: była to fikcja wpływu sztabów partyjnych na masy. Pismo dochodzi tutaj do wniosku, że koniunktura na politykę bluffu skończyła się definitywnie.

„Teraz muszą się już mierzyć ze sobą realne osiągnięcia. Wybory do Izb Ustawodawczych, wybory do samorządu to trudne przeszkody dla zwolenników polityki bluffu. Toteż odpadło ich już trochę, a pozostałych czekają jeszcze cięższe przeszkody, jeszcze trudniejsze momenty konfrontacji z rzeczywistością, konfrontacji, która zawsze rozwiewa fikcje i miraże.

„Reasumujemy: Polityka bluffów, którą scharakteryzowaliśmy powyżej może święcić tryumfy w okresie statyki, bierności i dekompozycji. Epoka wielkich realizacji, która się rozpoczyna, ukaże jej całą małość i śmieszność".

»Zależni« i »niezależni«

Gazeta Polska (nr. 319) piętnuje niewybredne metody, jakimi pewne organy prasowe posługują się w walce z Obozem Zjednoczenia Narodowego. Jedną z takich metod, to klesyfikowanie wybranych posłów i senatorów na „zależnych" i na „niezależnych". Od kogo zależnych? — pyta pismo—wzgl. od kogo niezależnych? I kto to wydaje patenty na „niezależność" i „zależność„ członków parlamentu?

„Okazuje się, że patenty te wydaje prasa konserwatywna, sekundowana jak to zwykle bywa, przez organy, „Lewiatana". I okazuje się dalej, że ci „zależni" to są członkowie Obozu Zjednoczenia Narodowego, a natomiast ci „niezależni" to członkowie innych ugrupowań politycznych, a w szczególności ci spośród nich, na których sympatie i powolność liczy polityka lewiatańsko-konserwatywna. Krótko mówiąc, ten w przyszłym Sejmie polskim, kto wyznaje zasady i ideologię OZN, jasno sformułowaną i ogólnie przez społeczeństwo polskie zaaprobowaną, ideologię wyprowadzoną z nadrzędnego interesu narodu i państwa oraz ujmującą z tego stanowiska wszystkie zagadnienia społeczne, gospodarcze i klasowe, ten ma być niedobry i ten ma być „zależny". Ten natomiast, kto nie chce uzależniać swego postępowania od zasady nadrzędności interesów narodu i państwa, kto przez prasę konserwatywno-lewiatańską uważany jest — słusznie czy niesłusznie — za uzależnionego od jej celów partyjnych i interesów grupowych, ten miałby być dobry, najlepszy i „niezależny"."

Pismo konkluduje więc:

„Bardzo są naiwni ci publicyści, którym się wydaje, że ich teoria niezależności w ten sposób pojęta i sformułowana zostanie przez polską opinię publiczną przyjęta za dobrą monetę. Bardzo są naiwni, jeśli przypuszczają, że konserwatywno-lewiatańska pieczątka niezależności otoczy ich wybrańców w oczach społeczeństwa polskiego aureolą tak bardzo świetlaną i atrakcyjną. Kto bowiem ma choć trochę zdrowego sensu, ten z pewnością nie da sobie wmówić, że złym i „zależnym" jest ten parlamentarzysta, który należy do OZN, a natomiast dobrym i „niezależnym" będzie ten, kto nie czuje się skrępowany wyznawaniem ideologii zjednoczenia narodowego, lecz pozostaje w dyspozycji „Lewiatana" lub też konserwatystów".

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.